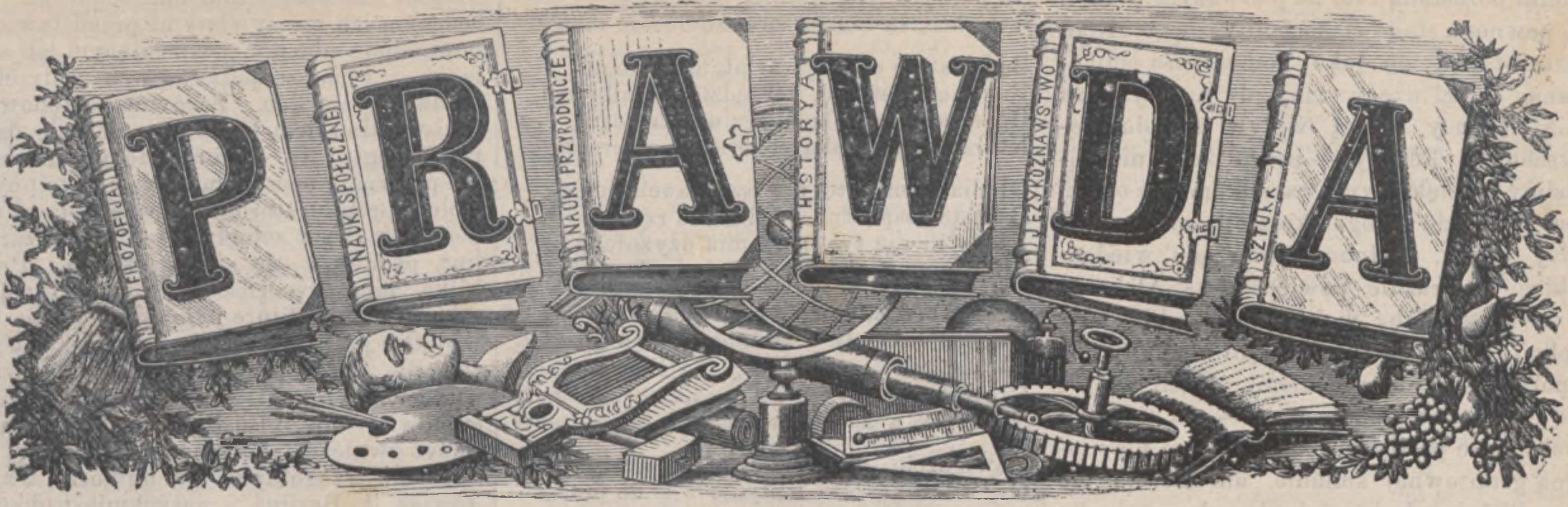
№ 49. Warszawa, dnia 5 Grudnia (23 Listopada) 1885 r. **Rok V.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Szan. abonentów naszych prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty. Warunki wydawnictwa naszego pozostają na rok przyszły też same.

W przyszłym tygodniu nakładem **Prawdy** wyjdzie ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Tylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN
w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadaną jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałcących ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich, popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Cena (w gustownej oprawie) rs. **2**; **do nowego roku** wszakże robimy ustępstwo dla abonentów naszych, którzy nabyć ją mogą za rs. **1** k. **50**.

Zwracający się z żądaniami bezpośrednio do naszej Administracyi kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

ZMARNOWANA KREW.

Pobitego nie należy bić — nawet słowem. I my więc, chociaż od początku w uroczysty hymn wojenny Milana wrzucaliśmy dźwięki szydercze, chociaż jego wyprawa na bułgarów pozostanie w historyi, według nas, odosobnionym okazem niegodziwego bezrozumu — dziś musimy pamiętać o nieszczęśliwym. A nieszczęśliwym król serbski obecnie jest. Przypomnijmy sobie wszystkie jego srogie miny, naśladujące gniew potężnych mocarzów, przypomnijmy sobie farsową buńczuczność niedawno oswobodzonego niewolnika, który sąsiadowi nie pozwala zrzucić jarzma, który wzgardziwszy moralnością, stanął na gruncie polityki i oświadczył Europie, że „nie pozwoli" na naruszenie równowagi półwyspu bałkańskiego. Było to dla wszystkich śmiesznem wówczas — a jest zabójczem dla niego teraz. Ów groźny Achilles, wiodący stosunkowo liczną i dobrze uorganizowaną armię, został sromotnie odparty przez bezładną i słabszą liczebnie zbieraninę, ze wstydem i zgryzotami sumienia wrócił do stolicy, gdzie tron jego spoczywa na wąskiej podstawie, otoczony kretowiskami. Tak zwany „najwyższy sędzia" ziemski tego rodzaju przewinień — naród, wyrokujący śród bagnetów, ani swego pana nie potępi, ani głośno nie oskarży. Ale z niemych jego spojrzeń król Milan wyczyta boleść i wyrzut. I jak odpowie sobie zamknięty w strzeżonym dworcu na własne pytanie: po co tyle tysięcy ludzi stracił, zrujnował, unieszczęśliwił i okrył żałobą? Po co ta krwawa ofiara? Jaki ona miała cel? Niedopuszczenie, ażeby brat rozerwał swe pęta? Przedsięwzięcie takie, nawet uwieńczone zwycięstwem, głębokiego zadowolenia dać nie może, a cóż dopiero chybione!

Jeżeli król Milan nad tą sprawą rozmyśla, a rozmyśla niewątpliwie, znajduje on w niej bardzo pouczającą odpowiedź na inne pytanie, mianowicie: czemu to przedsięwzięcie chybiło; czemu armia górująca nad przeciwnikiem ilością i jakością uległa w walce; czemu wojna, tak pomyślnie rozpoczęta, tak nieszczęśliwie się zakończyła? Dla strategika jest to zagadka trudna, dla psychologa — nie. Nie odgadlibyśmy nigdy, jakim sposobem blisko 100,000 wyćwiczonego wojska mogło ustąpić niepełnym 50,000 ruchawki— gdybyśmy stracili z oczu wzgląd, że pierwsi szli w ogień bez idei, a drudzy z ideą. Najprostszy żołnierz, obok swych uzdolnień i — że tak powiemy — szkoły, jeśli ma być walecznym, musi nieść nietylko w tornistrze naboje, ale i w sercu zagrzewające go uczucia: miłość ojczyzny, zemstę, lub wreszcie ślepe przywiązanie do swego wodza. Bez tej moralnej siły będzie on bił się, strzelał, znosił trudy i cierpienia, ale zachowa męstwo dopóty, dopóki go utrzymuje strach lub zachęca powodzenie. Pierwsza porażka, pierwszy rozstrój pognębia go i pozbawia odwagi. Cóż tedy w sercach swych niosła armia serbska? Czy miała bronić zagrożonej ojczyzny, odeprzeć najazd, osłonić życie swych rodzin i całość swego mienia? Bynajmniej, szła ona do boju chłodno, bez myśli i uczuć, z jakimś nieokreślonym i niezrozumiałym frazesem dyplomatycznym—szła przywracać „równowagę polityczną na półwyspie bałkańskim." Czy za takie widmo można chętnie przelewać krew, poświęcać życie?

Król Milan nie wprowadził do swej rachuby pierwiastków moralnych i grubo się omylił, tak grubo, że gazety z nadzieją uzyskania wiary donoszą to o jego zamiarze abdykacyi, to o samobójstwie. Ani pierwszego, ani drugiego wyjścia nie życzymy Serbii i południowym ludom słowiańskim. Zresztą nie przypuszczamy, ażeby król Milan, mimo skutków swego błędu, był wysadzonym z siodła. Dopóki półwysep bałkański jest polem ostro przecinających się interesów a los każdej jego części wypadkową wrogich sobie sił, dopóki t. z. „kwestya wschodnia" powstrzymywaną będzie od radykalnego i ostatecznego rozwiązania, dopóty *osoby*—nie rzeczy i sto-

sunki pozostaną tam na pierwszym planie. Z pewnego stanowiska politycznego Milan przedstawia się jako konieczność polityczna; straci wtedy tron, gdy Austrya a za nią Niemcy stracą wpływ na południowschodzie Europy — czego dotąd nie widzimy. Dzięki tym warunkom nie opłaci on osobiście drogo kosztów nieszczęśliwej wojny. Pełnomocnik rządu wiedeńskiego wyraźnie powiedział ks. Aleksandrowi, że gdyby wojska bułgarskie zadaleko sięgnęły w głąb Serbii mogłyby się spotkać — z austryackiemi. Jeżeli zaś — co jest prawdopodobnem — ani stosunki polityczne półwyspu bałkańskiego nie ulegną gruntownej zmianie, ani Serbia nie przyjdzie pod inne berło, daremnie by ktoś pytał: na co przelano tyle krwi? Dyplomata uśmiechnie się, a że dwa narody płakać będą — mniejsza.

---

* *
*

Więc znowu wojna!.. Odwieczne opoki
Bałkanów znowu od podstaw zadrżały;
Krwi purpurowej leją się potoki,
Wzbierają jęki, grzmią armatnie strzały!

Znów widmo mordu, pożogi, zagłady
Wyjrzało z piekieł oczyma strasznemi
I idzie, krwawe odciskając ślady
Na pra-prastarej tej słowiańskiej ziemi!

Wojna—i o cóż? i kto ci wrogowie,
Co kwiat narodu prowadząc do jatek—
Ileż wycisną łez niejednej wdowie,
Ileż rozkrwawią serc nieszczęsnych matek?

— Serb z bułgarynem losami zbratany,
Pokrewny wiarą, dziejami i mową,
Zaledwie wczoraj strząsnąwszy kajdany,
W których niewolę niósł kilkowiekową;

Ledwie zeń wczoraj te jarzma opadły,
Które najezdca zwycięzki nakłada,
Oto się z bratem zwarł jak pies zajadły,
Podszczuty głosem chytrego sąsiada.

Znowu to samo! Nigdyż nie przeminie
Czas bratobójczych rosterek i waśni?
Czyliż się nigdy, biedny słowianinie,
Głowa i dola twoja nie rozjaśni?

Wieczneż—ty *sclavus* o bawolim karku,
Którego mięso i krew w każdej porze
Na politycznym Europy jarmarku
Kto chce, za bezcen zawsze dostać może?

Będziesz-że ciągle szarlatanów sługą
Pionkiem oszusta, narzędziem szalbierza,
Bezwiedną w rękach Kaina maczugą,
Która w braterską pierś ślepo uderza?

Gladiatorem, który w szrankach kona,
Bawiąc rozpustne, bezlitośne rzesze,
Kiedy krwią twoją ziemia użyzniona
Idzie powoli pod obce lemiesze?!

Rzeki słowiańskie! wy, przeczyste wody
Dunaju — Wisły — Dniepru — Wołgi —
[Słuczy—
Czyliż krew skrzepła z ran naszej niezgody
Nigdy się w zdrojach waszych nie opłóczy?

Powiedźcie, jasne wody Słowiańszczyzny,
Czy wiele jeszcze wpłynie was do morza
Zanim zwad naszych zagoją się blizny
I zejdzie świetna pojednania zorza?

Włodzimierz Wysocki.

Z NIEMIEC.

Jowisz zeszedł z obłoków. — Walka o misye katolickie. — Interpelacya polska. — Ślepa nienawiść. — *Cherchez le polonais.* — Wygnanie bogów.

Dopóki ks. Bismark siedzi w swem zaciszu wiejskim, jak Jowisz w obłokach, dopóty sprawy niemieckie, a zwłaszcza parlamentarne biegną leniwie, ospale. Ogólną ciszę, albo raczej ogólną obojętność, którą stworzyła dyktatura tego człowieka, przerywają drobne walki, a w nich naturalnie zawsze on się przejawia, jak bóg panteistyczny we wszechświecie. Zaznaczyliśmy już poprzednio, że kanclerz, który obecnie nad niczem chyba gorliwiej nie pracuje, niż nad ubezwładnieniem parlamentów i zgnieceniem stronnictw opozycyjnych, nie poprzestał na ograniczeniu posłom prawa bezpłatnej jazdy kolejami żelaznemi i chciał im poderwać grunt w inny sposób. Lewica, składająca się przeważnie z ludzi niezamożnych, zwłaszcza zaś socyalno-demokraci i postępowcy wspierają swych przedstawicieli ze składkowych funduszów partyi. Sejm niemiecki płaci swym członkom dyety, pruski — nie. Wyobraźmy więc sobie ubogiego rzemieślnika, który, zostawszy posłem, musi przez pół roku siedzieć w Berlinie i obradować. Z czego będzie żył? Wyborcy mają dwie drogi: albo powierzać mandaty ludziom bogatym, nie będącym ich rzeczywistymi przedstawicielami, albo—ubogim, posiadającym ich zaufanie, i tych zaopatrywać w potrzebne środki materyalne. Zarówno postępowcy, jak socyalno-demokraci trzymali się ostatniej drogi. Ks. Bismark tedy zamierzył ich podważyć sposobem bardzo dowcipnym. Polecił prokuratorom pozwać opłacanych posłów o zwrot zaległych od tego „zarobku“ podatków na rzecz skarbu. Przez kilka miesięcy „fiscus“ wytaczał ciągle takie procesy, które jednak wszystkie bez wyjątku przegrał. Sądy pruskie, chociaż straciły swą przysłowiową samodzielność pod stopami „żelaznego kanclerza,“ odmówiły mu tej usługi zbyt krzyczącej i zbyt gwałcącej sprawiedliwość.

W nieszczególnym też humorze wrócił Jowisz do Berlina i natychmiast objawił sejmowi swój gniew. Stronnictwo ultramontańskie (centrum) wniosło interpelacyę: czy rząd dopuści misyonarzów katolickich do działania w nowonabytych koloniach? Ks. Bismark odpowiedział twierdząco, ale porobił tyle zastrzeżeń, tak zgromił jezuitów jawnych i „ukrytych,“ pomiędzy którymi naturalnie umieścił wszystkich polaków, że zastosowanie „praw majowych“ do kolonii wypłynęło na wierzch całej jego sofistyki. Podniósł tę rękawicę ze zwykłą zręcznością wódz katolików niemieckich w sejmie dr. Windhorst, który tak ostro zmierzył się ze swym przeciwnikiem, że wyręczył prezydenta w przywołaniu Bismarka—do porządku.

Po tym wstępie można było łatwo przewidzieć ton i treść odpowiedzi kanclerza na drugą interpelacyę—polską—w sprawie wydaleń pruskich. Jakkolwiek sprawa ta znalazła uznanie tylko w szczupłem kółku konserwatystów—czyli, jak ich nazwał Richter—w „chórze landratów,“ to jednakże posłowie polscy zaledwie po zagodzeniu swego wniosku aż do zupełnej bezbarwności i bezkrwistości zdołali zyskać dla niego podpisy niemców. Nawet gazety niemieckie wystawiały ten fakt między dowodami, do jakiego stopnia wzrosła lękliwość stronnictw opozycyjnych względem kanclerza. Ale i ta niewinna, pokorna interpelacya wystarczyła do objęcia go płomieniami gniewu. Pojawił on się na posiedzeniu z listem cesarskim, protestującym przeciwko poglądowi, jakoby rządy rzeszy miały prawo kontrolowania działań jednej korony (pruskiej). Odczytawszy to pismo, opuścił salę ze wszystkimi członkami Rady związkowej.

ZIOMEK*)

przez

Marka Twain'a.

Pewnego dnia zrobiłem wycieczkę statkiem parowym z Lucerny do Flüelen. Był prześliczny, słoneczny dzień; pod dachem z żaglowego płótna podróżni, siedząc na ławkach górnego pomostu, śmieli się i gwarzyli, od czasu do czasu głośniejszym wyrazem objawiając swój zachwyt nad cudownymi widokami. W samej rzeczy, nic wspanialszego, jak przejażdżka po tem jeziorze! Góry tworzyły zawsze nowe, czarowne widoki i wznosząc się niekiedy zupełnie prostopadle ku niebu, ginęły w przestworze błękitnego powietrza, tak, że nasz mały statek zdawał się niknąć u ich stóp.

Nie są to wcale góry śniegowe, szczyty ich jednak owinięte w chmury; nie sterczą one jak nagie skały, owszem pokryte są świeżą zielenią, na której z przyjemnością spoczywa oko.

Spadki ich są tak strome, iż trudno sobie wyobrazić, jak noga ludzka po nich stąpać może, a jednak biegną w dół i ku górze ścieżki, po których codziennie drapią się szwajcarzy.

Niekiedy wierzchołki tych potężnych, olbrzymich gór zwieszają się naprzód, wystając jak strzechy poddasza, a na najwyższych ich szczytach siedzą, jakby przylepione, zaledwie widne dla oka, maleńkie domki, podobne raczej do gwiazd jaskółczych. Są to chatki chłopów, którzy naprawdę wynaleźli sobie nadpowietrzne mieszkania. Ale skoro który z nich zbłądzi wśród nocy, lub dziecko jego spadnie w przepaść z wystającego ogródka, jak długą drogę przebyć muszą, zanim spuszczą się ze swych podchmurnych siedzib i wyszukają szczątki nieszczęśliwego. Jednakże te wysoko położone domki nęcą do siebie atmosferą słodkiego, rozmarzonego spokoju, zdala od niespokojnego świata — i kto raz zamieszkał na wyżynie, ten nie zejdzie już nigdy w niższe strefy.

Pomiędzy temi strasznemi, zielonemi ścianami, zwraca się jezioro w uroczystych zagięciach. Patrzyliśmy z wzrastającym zachwytem na wspaniałą panoramę, która zdawała się zwijać i znikać za nami, ażeby oczom naszym w nowej ukazać się piękności. Tu i tam występowały pełne wdzięku krajobrazy, lub nagle w swej śnieżnej, połyskującej szacie wspaniała Jungfrau, albo inny olbrzym górski wybiegał ku górze, wznosząc swą głowę i ramiona po nad wierzchołki średnich Alp.

Podczas kiedy tonąc okiem w jednym z tych cudnych widoków, nasycałem nim serce i zmysły, usłyszałem za sobą młody, niewinny głos.

— Zdaje się, jesteś pan amerykaninem? Ja także.

Był to zaledwie 18 lub 19-letni chłopiec, wysmukły, średniego wzrostu, z twarzą otwartą, swobodną i wesołą, ze spojrzeniem ruchliwem; z lekko podniesionym ku górze nosem, który jak gdyby unikał spotkania z pierwszym puszkiem wąsików, czekając, aż one przedstawią się przyzwoicie; ze szczękami swobodnie ruszającemi się. Miał on na głowie niski, okrągły słomiany kapelusz, z wązkiemi skrzydłami, opasany niebieską wstążką, na której wy-

*) Jakkolwiek ukazanie się tej opowiastki w oryginale zapowiadane było po pismach europejskich telegramami, podajemy ją nie tyle dla jej wartości, ile dla poznajomienia czytelników z piórem słynnego humorysty amerykańskiego. *Red.*

Powrócimy jeszcze do tej sprawy później; tymczasem zaznaczamy nowy objaw starej, namiętnej nienawiści Bismarka do polaków. Człowiek ten, który zawsze waży swe myśli i uczucia chłodno, w tej jednej zaciekłości nic rozumuje nigdy i powierza się ślepemu instynktowi, jakimś bezwiednym wybuchom, maniactwu. W każdej zawierusze gotów jest dojrzeć rękę polską, zawsze powtarza: *cherchez le polonais*. Te jego halucynacye odbija w niezliczonych echach prasa niemiecka przy każdej sposobności. Ktoby np. zdrów na umyśle przypuszczał, że nawet w zatargu serbsko-bułgarskim ukryła się „polska intryga?“ A jednak *Hamburger Nachrichten* pod francuskim tytułem owego kanclerskiego przysłowia ogłosiły światu tę tajemnicę. Choćby dla poprawy humoru posłuchać warto. „Na pytanie — pisze zwaryowana gazeta — czemu książe Aleksander bułgarski cieszy się poparciem Anglii i życzliwością Francyi—odpowiadano rozmaicie. Usiłowano wytłomaczyć tę łaskawość dla dążeń Battenberga wysoką polityką i wpływami osobistymi. Nie ulega wątpliwości, że względy polityczne grały tu rolę pierwszorzędną; ciekawem jest wszakże zauważyć, jak one powstały i z jakich pobudek wysunięte zostały na plan przedni przez osoby w nich uczestniczące. Wiadomo powszechnie, że książe Aleksander z linii macierzystej jest polakiem: ale nie tak powszechnie wiadomo, że żywioł polski (anti-rosyjski) i w tutejszym (konstantynopolskim) świecie dyplomatycznym ma swoich przedstawicieli; na tym gruncie spotykają się dążenia ludzi, skądinąd sobie obcych i niczem niepołączonych.“ Następuje szczegółowa genealogia, wyjaśniająca zagadkę polityczną. Więc: 1) przedstawiciel Anglii (w Konstantynopolu) W. White, dawniejszy konsul w Gdańsku, gdzie pozostawał pod „silnym wpływem polskim,“ zaślubił polkę Kendzios (?), którą ojczym Markowski wychował w nienawiści politycznej; 2) przedstawiciel Francyi de Noailles także „ulega wpływowi polskiemu“ przez swą żonę z pierwszego małżeństwa Szwejkowską, która itd.

Co było do dowiedzenia. Naprzód: *cherchez le polonais*, potem: *cherchez la femme* a znajdziecie odpowiedź na pytanie: czemu dwa wielkie państwa: Anglia i Francya tak a nie inaczej zachowują się w sprawie wschodniej.

Niedarmo jeden z publicystów niemieckich kiedyś westchnął, że Germania coraz więcej rodzi synów, którzy umieją dowieść—wszystkiego.

Z tych głupstw, zaciekłości, czy obłąkania raczej śmiać się należy, niż smucić. Zresztą w tym świecie wyłącznej czci dla karabina i silnej ręki, żaden żywioł nie może upominać się o szacunek. I bogom greckim nie lepiej się wiedzie w Niemczech, niż polakom. Może niektórzy czytelnicy przypominają sobie proces wytoczony kilka lat temu wydawcom dzieł Heinego o wiersz „Biała dama.“ Gazety ośmieszyły wówczas to „curiosum“ — a dziś? Dziś spokojnie donoszą o karach sądowych, wymierzonych na żądanie prokuratoryi właścicielom sklepów z posągami nagimi. Jeden z nich w Kolonii wystawił w oknie: "Trzy gracye" i „Afrodytę“ Thorowalsena, oraz kopie prac innych artystów. Oskarżono go o „zgorszenie publiczne“ i „grubą nieobyczajność.“ Sąd skazał „gorszyciela“ na 50 marek kary i kazał posągi z wystawy usunąć. Mogąż polacy spodziewać się pobłażania od państwa. które wygania nawet bogów greckich! Przecież „trzy gracye“ nawet nie intrygują i nie „grożą całości Niemiec!“

Ciekawa rzecz, czy też Hamleci niemieccy nie czują, że w tem państwie duńskiem coś się psuje—coś gnije?

Liber.

„BIBLIJNE OBRAZY“
WERESZCZAGINA.

Wiedeń, 21 listopada.

W ostatnim liście wspomnieliśmy o sporze, jaki wywiązał się pomiędzy wiedeńskim kardynałem-arcybiskupem Ganglbauerem a rosyjskim malarzem Wereszczaginem z powodu wystawy jego „obrazów biblijnych,“ sprzecznych z legendą kościoła. Spór ten stoi zawsze jeszcze na porządku dziennym a przybrał nawet tak wielkie i głęboko sięgające rozmiary, że musimy doń wrócić w osobnym artykule. Zgorszenie kardynalsko-arcybiskupie ściągnęły na siebie mianowicie dwa obrazy Wereszczagina z jego cyklu biblijnego: „Zmartwychwstanie Jezusa“ i „Święta rodzina.“ Pierwszy przedstawia kamienny grób z odwalonym otworem, z którego wychyla głowę „zmartwychpowstały“ Jezus, mający twarz odrażającą, blado sinawą i wykrzywioną od bólów i cierpień. Rzymscy żołnierze ustawieni na warcie pierzchają na widok tego trupa, rzucając z przerażenia broń za sobą. „Świętą rodzinę“ pokazuje malarz rosyjski na brudnem podwórzu starego domu w pełnym komplecie: ojca Józefa, matkę Maryą z młodszem dziecięciem przy piersi, Jezusa i kilkoro jego braci i siostr, co sprzeciwia się zupełnie dogmatowi „niepokalanego poczęcia panny Maryi,“ sprzeciwia się całej kościelnej teoryi o „matce-dziewicy.“ Z tego powodu ogłosił wiedeński arcybiskup dwa te obrazy za „gorszące“ i „bezbożne,“ starając się naprzód u rządu o usunięcie ich z wystawy, a później dopiero, kiedy te starania zawiodły, rozpoczął przeciwko nim walkę. Organ dyecezyalny wystąpił z „uzasadnioną anatemą,“ noszącą podpis arcybiskupi. w której ostro wykazaną jest „szkaradna bezbożność“ i dążność wstrząśnienia powagi kościoła.“ Polemizujący kardynał-arcybiskup wezwał do pomocy aż Rafaela, powołując się na jego „estetycznie piękne dzieła,“ na jego idealizowanie „matki-dziewicy,“ która jest „piękną i szczytną. jak istotna matka-boska“ i odznacza się „szlachetnością form i *prawdą*.“ Za urzędowym dziennikiem wiedeńskiej archidyecezyi poszły wszystkie inne pisma klerykalne, prześcigające się w wyrazach nagany a nawet i obelgi dla rosyjskiego malarza; spór w dalszym przebiegu zaostrzył się nawet tak daleko, że po kościołach rozdawano „pobożnym“ rozmaite pamflety przeciwko obrazom Wereszczagina, i odprawiano też publiczne msze w celu „przebłagania obrażonego majestatu bożego.“

Tymczasem, chociaż wystawa obrazów potrwa do końca listopada, Wereszczagin wrócił z Wiednia do Paryża, gdzie stale mieszka i gdzie się też dowiedział o wojnie słownej, prowadzonej z taką namiętnością przez stronnictwo klerykalne przeciwko niemu. Naturalnie wobec ostrych zaczepek musiał myśleć o obronie: w tym celu ogłosił w dziennikach wiedeńskich list otwarty. Posłuchajmy, co odpowiada malarz kardynałowi. „Jego Eminencya arcybiskup wiedeński, kardynał Ganglbauer sprawił zaszczyt kilku obrazom, które teraz wystawiłem w Wiedniu, poddając je namiętnej krytyce. W interesie prawdy pozwalam sobie panu kardynałowi przesłać drogą prasy tak, jak on to uczynił, kilka uwag z mojej strony. Nie pójdę jednak za jego przykładem dalej i nie będę używał gwałtownych zwrotów językowych, które rzeczy tylko szkodzą. Pojmuję gniew Jego Eminencyi z powodu różnicy, jaka zachodzi pomiędzy tekstem ewangelii, na którym oparłem moje obrazy, a urzędowem

---

haftowana była biała kotwica; krótki surducik, kamizelka i spodnie, słowem całe ubranie było czyste, ładne i modne. Skarpetki w czerwone paski wyglądały z czarnych. obcisłych, sznurowanych lakierów, niebieski krawat pod szeroko otwartym kołnierzem, brylantowe spinki tkwiły w gorsie koszuli, eleganckie rękawiczki, wystające mankiety z wielkiemi z oksydowanego srebra spinkami, na których wyrzeźbiona była psia głowa — angielskiego mopsa, na laseczce znajdowała się również głowa psa z czerwonemi szklanemi oczami. Pod pachą dźwigał gramatykę niemiecką Ottona, włosy miał gładko przyczesane i krótko przystrzyżone, skoro jednak obrócił się na chwilę, spostrzegłem, że były starannie przedzielone. Wyjął cygaro z ładnego pudełeczka, włożył je w cygarnicę z morskiej pianki, dobytą z safianowego futerału, przytknął do mojego cygara i podczas kiedy zapalał, odpowiedziałem mu:

— Tak, jestem amerykaninem.

— Wiedziałem o tem, zawsze poznaję amerykanów. Na jakim okręcie przybyłeś pan?

— Na Holzacyi.

— A my na Batawii. Cunard, jeżeli pan znasz. Jaką podróż pan miałeś?

— Dość przykrą.

— My także. Kapitan mówił, że rzadko zdarza się równie przykra przeprawa. Skąd pan jesteś?

— Z Nowej Anglii.

— My także, z New-Bloomfield. Z kim pan podróżujesz?

— Z przyjacielem

— My całą rodziną, samemu strasznie przykro podróżować. Zgadzasz się pan na to?

— Zapewne.

— Czy pan już tu byłeś przedtem?

— Tak.

— Ja nie. Jest to moja pierwsza podróż. Ale byliśmy potrochu w Paryżu i wszędzie. Na przyszły rok zamierzam studyować w Harward, tu uczę się po niemiecku, gdyż inaczej nie będę przyjęty. Po francusku mówię płynnie, nauczyłem się w Paryżu. W którym hotelu pan mieszkasz?

— W Schweizerhof.

— Co? Doprawdy? Nie widziałem pana w salonie ogólnym. Przebywam najczęściej w salonie, gdyż tam bywa wielu amerykanów i zawiązuję znajomości. Poznaję zaraz amerykanów, przemawiam do nich— i oto jesteśmy znajomymi. Zawieram bardzo chętnie nowe stosunki. Czy pan także?

— Zapewne.

— To czyni podróż o wiele więcej przyjemną, człowiek nie nudzi się, robiąc nowe znajomości i mając do kogo przemówić. Bez ludzi znajomych, taka przejażdżka musiała być by strasznie nudną. Rozmawiam chętnie... A pan?

— Z wielką przyjemnością.

— Czyś pan się nudził podczas dzisiejszej przejażdżki.

— Tylko przez pewien czas, nie ciągle.

— Widzi pan — trzeba się ruszać, rozmawiać i zaznajamiać, ja tak postępuję i ciągle się kręcę i mówię do kogoś, dlatego nie znam nudów. Czy pan był już na Rigi?

— Nie.

— Chcesz pan tam być?

— Zamierzam.

— W którym hotelu staniesz pan?

— Nie wiem. Alboż jest kilka?

— Trzy. Stań pan u Schreibera, tam znajdziesz sporo amerykanów. Na jakim okręcie, mówiłeś pan, żeś przybył tutaj?

— Na City of Antwerp.

— Niemiecka linia, nieprawdaż. Czy pojedziesz pan do Genewy?

— Tak.

W którym hotelu chcesz pan stanąć?

W hotelu Ecu de Génève.

poddaniem (? *Red.*) się kościołowi. Jego Eminencya nie raczy powoływać się na ewangelię, a przecież święta książka powinna być zawsze z nami; każdy chrześcianin dobrej wiary potrzebuje tylko ją otworzyć, ażeby nabrać pewności, że z kart tej książki występuje duch zbawiciela w całej swej prostocie i wielkości, podczas kiedy za obrębem ewangelii wytworzyły się legendy, które z czasem coraz więcej przechodzą w krainę wyobraźni. Co się tyczy pierwszego z potępionych obrazów, to pytam: czy sprzeciwia się religii przypuszczenie w myśl ewangelii, że zmartwychwstanie zbawiciela nastąpiło przez ten sam otwór, przez który włożono ciało jego do grobu, zwłaszcza, że ewangelia mówi wyraźnie o aniele, który odwalił kamień od tego otworu? Przy drugim obrazie, przedstawiającym „świętą rodzinę,“ występuje sprzeczność pomiędzy tekstem ewangelii a naukami kościoła w całej swej sile. Tekst jest autentyczny. Święta rodzina była bardzo liczną. Prócz Jezusa, który był pierworodnym, miała święta dziewica jeszcze siedm czy ośm dzieci, chłopców i dzieweczek. Każdy może się przekonać o prawdzie słów moich, jeśli otworzy Biblię i przeczyta następujące miejsca: Mateusz XIII. 55, 56.—I. 25.—XII. 47, 48, 49. Marek VI. 3. — III. 31, 32, 33, 34, 35. Jan I. 12. Dla usunięcia wszelkich wątpliwości i niejasności, które mogą stąd pochodzić, jest wedle mego zdania jeden tylko środek, mianowicie: zwołanie powszechnego soboru, któryby mógł załatwić tę kwestyę, jako też i wiele innych nie mniej ważnych. Im dłużej będziemy z tem zwlekali, tem głębiej będą się wątpliwości zagnieżdżały. Tymczasem jednak niechaj wolno będzie tym, którzy każdej dwuznaczności wymijają(? *Red.*) z drogi, uważać siebie zarówno dobrych chrześcian, jak ci, którzy—opierając się na sprzecznościach—uprawniają przysłowie: cel uświęca środki, *Bazyli Wereszczagin.*

Przytoczony list dolał oliwy do ognia, dał hasło do polemiki artystycznej na tle biblijnem, w której zawodowi krytycy i uczeni żywy wzięli udział. Jeden z nich powiada, że po stuletnich, gorących walkach przyznała nauka kościoła Chrystusowi w połowie XV wieku boską i ludzką naturę, co też musiało się koniecznie odzwierciedlić i w jego stosunkach rodzinnych. Należy on zatem rzekomo do dwu rodzin: jako „syn boży“ do świętej, niebieskiej, zaś jako syn człowieczy do ziemskiej, podlegającej wielkim zmianom i doczesnościom żywota organicznego. Dlatego nic niema w tem dziwnego, że ziemską jego rodzinę wkrótce przyćmił blask jego „niebieskiego pochodzenia.“ U katolików poszła ona prawie zupełnie w zapomnienie, co można tylko tem wytłomaczyć, że kościół katolicki zabraniał czytania i studyowania Starego i Nowego testamentu. Biblia, która u ludu protestanckiego jest zawsze jeszcze wielce czytywaną książką, została u katolików zupełnie wyrugowaną przez „świętą legendę.“ Skutkiem tego widzimy śród nich zawsze podejrzliwe zdziwienie, kiedy jest mowa o braciach i siostrach Chrystusa. A przecież fakt ten znajdujemy w tej samej świętej księdze, która nam opowiada żywot Jezusa: w Nowym testamencie. P. Rudolf Valdek uzupełnia Wereszczagina cytatami z Biblii, które stwierdzają fakt, że Jezus miał braci i siostry. W ewangelii Mateusza rozdział XII. wiersz 55 i 56 mówi: „Ażaliż on (Jezus) nie jest synem cieśli? Nie zowie się matka jego Marya? a jego bracia Jakób i Jozes i Szymon i Judasz? A czy jego siostry nie są wszystkie z nami? Na innem miejscu tejże ewangelii (r. XII. w. 46) jest wyraźnie wzmianka o „jego braciach.“ Drugi ewangelista Marek powiada (r. VI. w. 3): „Nie jest że on cieślą, syn Maryi, a brat Jakóba i Jozesa i Judasza i Szymona?“ Również w rozdz. III. w. 31 do 35 tegoż, jako też w rozdz. VIII w. 19 do 21 ewangelisty Łukasza znajdują się wyraźne wzmianki o siostrach i braciach Jezusa. To samo znajdujemy w kilku miejscach (r. VII w. 3, 5 i 10) ewangelii Jana, jako też w pierwszym liście do koryntyan (r. IX w. 5) i w historyi apostołów (r. I w. 14) Pawła. Podania te stwierdzają stanowczo, że współcześni Jezusa uważali istnienie jego braci i siostr jako fakt, nie znajdując w tem bynajmniej nic złego. Rodzeństwo Jezusa było przez nich również szanowane. Uważano je jako dzieci Maryi i cieśli Józefa. Ewangelista Łukasz, opowiadając o narodzeniu Jezusa (r. II w. 7), mówi: „i porodziła swego *pierwszego* syna. Mateusz mówiąc o Józefie i Maryi (r. I w. 25) powiada: „A nie uznawał jej, dopókąd mu nie porodziła *pierwszego* syna, nadając mu imię Jezus.“ Pięciu synów i kilka córek urodziła Marya Józefowi. Synów imiona są znane, o córkach niewiadomo nawet, ile ich było.

O braciach Jezusa nie znajdujemy dużo bliższych wiadomości. Dowiadujemy się tylko—twierdzi feljetonista *Wiener Allgemeine Zeitung*—że oni w boskie posłannictwo Jezusa nie wierzyli, tak samo jak i Marya, co stwierdza ewangelista Jan w rozdz. VI w. 5. Do swej matki i braci mówił Chrystus: Prorok najmniej znaczy w swej ojczyznie i w swoim domu (Mateusz r. XIII w. 57). Bracia nie towarzyszą też Jezusowi na miejsce stracenia, nie było też ich na jego grobie, a z krzyża poleca Jezus swoją matkę nie ich pieczy i miłości, ale swojego ucznia Jana. Po jego śmierci widzimy ich ze zmienionem zdaniem i zachowywaniem się; z powątpiewających stali się wiernymi. Dzieje apostołów i sprawozdania Pawła donoszą nam, że bracia Chrystusa zajmowali w chrześciańskiej gminie jeruzalemskiej znaczące i wpływowe stanowiska. Zawdzięczali oni je— jak stwierdza Paweł—swojej własnej doskonałości, ścisłości obyczajów, godności i zapałowi, z jakim popierali żydowskie kościelne zwyczaje, w części zaś swojemu wspólnemu mesyanicznemu pochodzeniu z plemienia Dawida. Jeszcze w trzeciem stuleciu przywiązują pisarze kościoła wielką wagę do potomków *pańskiego* plemienia, do tak zwanych „krewnych pańskich.“ Wyraźnie występuje na widownię tylko Jakób, dla swych cnót zwany sprawiedliwym. Paweł zastaje go za swej pierwszej podróży w Jerozolimie na stanowisku podobnem apostolskiemu—i zalicza go do filarów tamtejszego kościoła. Pisze dalej, że Piotr przy swej misyjnej czynności, więcej niż należało, był zawisłym od Jakóba. Euzebiusz Pamfiliusz, najstarszy dziejopis kościelny, opowiada szczegółowo o Jakóbie, mianowicie o jego śmierci męczeńskiej w r. 63 po Chrystusie. Mniej pewne są wiadomości o innym bracie Chrystusa— Szymonie. Ten po ścięciu Jakóba był przez zgromadzenie apostołów, uczniów i krewnych Jezusa, wybrany na biskupa Jerozolimy i później, wskutek denuncyacyi gnostyków, jako potomek Dawida i Jezusa, z rozkazu Atticusa, ówczesnego rzymskiego namiestnika Syryi, wzięty na tortury a następnie ukrzyżowany. O Judaszu dowiadujemy się tylko tyle, że za czasów Domicyana i Trajana żyli jego wnukowie, trudniący się rolnictwem. W trzeciem stuleciu mieli, wedle świadectwa Euzebiusza, żyć jeszcze dalsi krewni Jezusa w syryjskiej krainie Kaukab i Nazarecie. Odtąd znikają oni z widowni zupełnie. Wereszczagin wspomina w swoim katalogu, że potomkowie „świętej rodziny“ mieli się znajdywać jeszcze w przeszłem stuleciu, na co jednakże nie podaje żadnych dowodów.

Pomimo wszakże silnie zakorzenione wiary w istnienie rodzeństwa Jezusa, ju w drugiem stuleciu objawiły się usiłowa

---

— Nie czyń pan tego! Tam niema amerykanów. Niech się pan uda do którego z większych, w pobliżu mostu, jest ich tam dosyć,

— Ale kiedy ja chcę wprawiać się w języku arabskim.

— Sprawiedliwe nieba! Czy pan umiesz po arabsku.

— Dosyć, ażeby mnie zrozumiano.

— Ale w Genewie pana nie zrozumieją, tam nie mówią po arabsku, tylko po francusku. W którym hotelu pan tu mieszkasz?

— W pensyonacie Beau Rivage.

— Ach powinieneś pan zamieszkać w Schweizerhof! Czyż pan nie wiesz o tem, że Schweizerhof jest to najlepszy hotel w całej Szwajcaryi. Niech pan tylko zobaczy w Badeckerze.

— Tak, ale ja sądziłem, że tam niema amerykanów.

— Niema amerykanów! Ach mój Boże! Alež tam aż roi się od nich. Ja siedzę najchętniej w wielkim salonie i zawieram znajomości. Wprawdzie nie tyle co z początku, gdyż teraz są tylko nowo przybyli, dawni już wyjechali. Skąd pan jesteś?

— Z Arkanzas.

— Doprawdy? Ja pochodzę z Nowej Anglii i mieszkam w New-Bloomfield. Dzisiaj jest tu cudownie, czy pan tego nie znajdujesz?

— Wspaniale.

— Myślę to samo. Przechadzam się chętnie, rozmawiam i zaznajamiam. Amerykanów poznaję od razu, zbliżam się i przemawiam do nich. W ten sposób nie nudzę się nigdy, na żadnej wycieczce, gdyż mogę zawierać nowe znajomości i bawić się; czynię to chętnie, jak tylko spotkam osobę, z którą porozmawiać można. Czy to się panu podoba?

— Tak, niema nic przyjemniejszego.

— Ja też tak myślę. Niektórzy ludzie biorą do ręki książkę i zagłębiają się w niej, inni zachwycają się przyrodą, jeziorem i górami, ale ja tego nie czynię. Niech tak robi ten, komu to się podoba — ja zaś muszę rozmawiać. Czy byłeś pan już na Rigi?

— Tak.

— A w którym hotelu mieszkałoś pan?

— U Schreibera.

— Tak? Ja również tam! Sami amerykanie — nieprawdaż? Wszyscy tam dążą i zawsze ich tam znaleźć można. To każdy mówi. Na jakim okręcie przybyłeś pan?

— Na Ville de Paris.

— Prawdopodobnie okręt francuski. Jaką przeprawę pan miałeś? Ach proszę, wybacz mi pan, oto jacyś nowi amerykanie, których jeszcze nie widziałem.

Poszedł sobie! Pozwoliłem mu unieść skórę w całości, chociaż przyznaję, że powziąłem poprzednio zamiar morderczy przebić go z tyłu kijem alpejskim; ale kiedy broń podnieść miałem, odeszła mnie do tego ochota. Nie mogłem zmusić się do odebrania mu życia: był to bowiem wesoły, niewinny, dobroduszny półgłówek.

W półgodziny później podziwiałem z mojej ławki z najwyższem zajęciem wspaniały monolit, koło którego przepływaliśmy. Nie ludzie to zbudowali ten pomnik, ale ręka natury stworzyła w niepamiętnych czasach tę olbrzymią, na 80 stóp wysoką, piramidalną skałę, w przewidywaniu dnia, w którym posłużyła ona za pomnik człowiekowi godnemu tego zaszczytu. Nakoniec nadeszła chwila, kiedy imię Schillera wypisano olbrzymiemi głoskami na płaszczyźnie sędziwej, pomnikowej skały.

Dziwna rzecz, że ta skała nie jest wcale pobazgrana i oszpecona. Przed dwoma laty jakiś cudzoziemiec spuścił się na sznurku i niebieską farbą, głoskami większemi od napisu na cześć Schillera, namalował w poprzek następujące słowa:

„Przewyborne!

nia, dążące do podkopania jej i do podkładania słowom najstarszych i najświętszych świadków innego znaczenia. Wymyślano dwie teorye wykładu. Wedle jednej pochodzili bracia Jezusa z pierwszego małżeństwa, wedle drugiej byli tylko właściwie jego stryjecznymi. Pierwszej teoryi bronił mianowicie Orygines (230 po Chr.) i znalazł licznych zwolenników na Wschodzie i Zachodzie; drugą zaś popierał Klemens z Aleksandryi (200 po Chr.) i Hieronim, a nawet Augustyn (400 po Chr.). Jednak dowodów na to żaden z nich nie przytoczył. Biskup z Cezarei naprzykład, ów ojciec kościelnego dziejopisarstwa, który żył od r. 270 do r. 340, Euzebiusz Pamfiliusz zowie w swej po grecku napisanej historyi kościoła (II, 25) Jakóba „bratem pana" i mówi o nim: „był on świętym już w ciele swej matki." Kiedy o nim wspomina (I, 12; II, 1; VII, 19) nazywa go zawsze „bratem pana." Również i święty Hieronim, który w r. 385 poprawił starszy łaciński przekład Nowego testamentu (Itala) tłomaczy zawsze „bracia" i „siostry." Nawet i *Vulgata*, owo głównie od Hieronima pochodzące tłomaczenie, którem kościół katolicki posługuje są do dnia dzisiejszego jako urzędowym tekstem biblijnym, nawet i *Vulgata* mówi wszędzie o braciach i siostrach, a nigdzie o stryjecznych braciach i stryjecznych siostrach.

Sztuka mało troszczyła się o rodzeństwo Chrystusa. Jeżeli teraz malarz przypomni sobie to, co dotąd było zapomnianem, i przedstawia „świętych" krewnych razem, to przeciwko temu nie można nic zarzucić, ponieważ on przez to nie obraża ani dziejowej prawdy, ani też uczucia religijnego. Jeżeli zaś, jak Wereszczagin, ukaże ich w sposób nadto realistyczny, musi być przygotowanym na to, że zbudzi odrazę.

Przechodząc do brzydoty „biblijnych obrazów" Wereszczagina, można im czynić uzasadniony zarzut ze stanowiska estetycznego, ale nigdy nie można w tem widzieć bezbożności.

S.

Z FRANCYI.

Paryż, 20 listopada.

Polityka „massońska." — Nowe ugrupowania. — Clemenceau i Rochefort. — *Question du latin.* — Nowości literackie: *Prêtre de Nemi* Renana i *Les Jacobites* Coppée'go.

Izba francuska z Pałacu Burbonów przeniosła się obecnie do sali Wielkiego Orientu, która jest, ni mniej ni więcej, tylko stałem siedliskiem lóż „massońskich." Odbywają się tu narady republikańskiej lewicy i zapadają uchwały. Oto, gdzie zaszliśmy—wołają prawowierni rozdzierając szaty. Masoni rządzą Francyą! Ba, gdybyż to tylko kończyło się na tej okropności... gorzej jeszcze, że klub zbierający się w wolno-mularskiej jaskini robi konkurencyę dotychczasowej świątyni prawodawczej, ukazującej swą grecką kolumnadę naprzeciw Placu Zgody. Zbliżają się więc już straszne dni konwentu i groźnych klubów. Tylko patrzeć a nowa jaka Góra rozpocznie terroryzm...

I kto wie, gdyby parlamentarny radykalizm francuski nie był tylko słabym cieniem wielkiej rewolucyi, bez żywotnych korzeni w szerszych masach ludności, kto wie — może niebezpieczeństwo byłoby istotne... Dotąd wszakże strachy na lachy! Panowie konserwatyści i wylękłe mieszczaństwo boją się bezkrwawego widma, które jest tylko dyabłem na ścianie.

Izba obecna ma niby większość nie tylko republikańską lecz i radykalną — radykalizm to jednak bardzo wodnisty i mało niebezpieczny. Nawet Clemenceau, do niedawna bardzo czerwony, czując za sobą większość rządową, złagodniał jak baranek i stał się wyrozumiałym nader oportunistą. Robi też bardzo sumiennie ustępstwo za ustępstwem, co ma być nieuchronne dla zachowania jedności w republikańskim obozie. Jedność, jedność! Bardzo to ładne hasła, jeżeli się dla nich nie poświęca najdroższych godeł i własnego programu. Kto jednak kapituluje przed czasem i ulega, ten łatwo sam utonąć może w płytkiej sadzawce miernoty i osiadłszy na tej mieliźnie, nie ruszyć się z miejsca. W interesie całego społeczeństwa zawsze życzyć sobie można, ażeby szło ono za jakiemś energicznem i świadomem siebie przewodnictwem, nie kręciło się jak otumanione na miejscu. Przy takiem „staniu i stać chceniu" daleko się nie zajdzie. Z żalem też widzą niejedni, że Clemenceau zużyć się może przed czasem i utonąć w optymistycznej większości, zamiast coby miał jej swój program narzucić.

Powoli też na skrajnej lewicy, opróżnione po Clemenceau, miejsce zajmuje kto inny — Rochefort. Widzę już, jak spokojni obywatele żegnają się przed tem nowem widmem czerwonem i wołają zatrwożeni: *a kysz, a kysz!* Nie taki jednak dyabeł straszny, jak go malują. Rochefort ma wprawdzie za sobą tradycyę upartej walki z cesarstwem, nie jest to jednak dziś żadnym tytułem do niebezpiecznego radykalizmu! Zaplątał się także, całkiem ubocznie, do Komuny i był nawet zesłany do Nowej Kaledonii, z której zbiegł dość wcześnie— czyż to jednak jest dziś czemś wyjątkowem, gdy tylu rzeczywistych „komunardów" wróciło i zajmuje wybitne stanowiska? Zwalczał później Gambettę i Ferrego, przyczyniwszy się potężnie do upadku zarówno jednego jak drugiego — i tu jednak występował tylko przeciw ślimaczemu oportunizmowi, nadużyciom i dyrektoryalnym dążeniom, niezgodnym z właściwem zadaniem Rzeczypospolitej. Rochefort ma wprawdzie wiele istotnych sympatyj w kołach robotniczych i radykalnych Paryża, nigdy się jednak, ściśle rzeczy biorąc, do socyalistów i rewolucyonistów nie zaliczał. Walcząc z wielogłową hydrą nadużyć i przesądów wszelkiego rodzaju, znakomity pamflecista przechylał się wprawdzie zawsze ku najskrajniejszej lewicy, bo pośrodku nic zasługującego na istotną sympatyę nie widział, nie idzie jednak zatem, żeby był świadomym i czynnym pionierem rewolucyjnego socyalizmu. Nigdy też wyznania wiary w tym kierunku nie złożył i nie głosił idej tej barwy. Co jednak robił zawsze, to bronił krańcowy obóz radykalny od niesłusznych i stronnych posądzeń, od ciasnogłowej nietolerancyi i zakorzenionej zbyt we Francyi administracyjnej samowoli. Rochefort jest nader niebezpiecznym polemistą, z którym nikt prawie nie odważa się skrzyżować szpady; jego polemiczne parowania i pchnięcia bywały często zabójcze — przeciwnik to jednak groźny przedewszystkiem dla fałszywych postępowców i nieszczerych republikanów. A groźniejszym jest jeszcze tem bardziej, że potęgą swego talentu i popularności wyrobił sobie nieograniczoną prawie swobodę słowa. Istotnie wolno mu bardzo wiele i artykuły jego, pojawiające się codziennie rano od r. 1880 w wstępnych łamach dziennika *l'Intransigeant*, mają swoją wagę. Sławę i rozgłos zawdzięcza Rochefort przedewszystkiem niesłychanej sile i dosadności słowa, wspartego druzgocącą argumentacyą. Jest to dla wielu straszny, mściwy i złośliwy demon. Dla wielu — dla innych jednak jest to gorący rzecznik i niestrudzony obrońca. Zapomnieć o tem nie należy, że niema takiej sprawy pokrzywdzonej, lekceważonej, opuszczonej

---

Mydło Pears'a dla zachowania cery.
Sozodont nadaje piękność i świeżość.
Pozytywki Paillard'a.
Atrament Wade'a."

Złapano go na gorącym uczynku i pokazało się, że był to amerykanin. Podczas przesłuchania rzekł doń sędzia: „Pochodzisz z kraju gdzie dla nędznego zysku bezkarnie i według upodobania znieważać można naturę, a wraz z nią i stwórcę. Ale u nas czynić tego nie wolno. Przez wzgląd na twoją nieświadomość i ponieważ jesteś cudzoziemcem osądzę cię łaskawie, gdybyś był tutejszym, kara wypadłaby srożej. Musisz zatrzeć na pomniku szyllerowskim ślady twego szkaradnego czynu i zapłacić 10,000 franków. Oprócz tego skazany jesteś na dwa lata robót przymusowych, obrżnięcie uszu i publiczną chłostę aż do granic kantonu, z którego wygnany będziesz na zawsze. Te ostatnie kary zostają wszakże umorzone, nie dlatego, żeby ci okazać łaskę, ale ze względu na Wielką Rzeczpospolitą, która miała nieszczęście dać ci życie."

Ławki na statku są tak ustawione, że pasażerowie siedzą tyłem do siebie i głowa moja pomimo woli dotykała włosów siedzących za mną dam. Wkrótce potem ktoś do nich przemówił i oto co usłyszałem:

— Panie są amerykanki? Ja także.

— Tak, jesteśmy z Ameryki.

— Wiedziałem o tem; poznaję zawsze amerykanów. Na jakim okręcie panie przybyły?

— Na City of Chester.

— Z Inman-linii, nieprawdaż? My na Batawii, Cunard. Jaką przeprawę miałyście panie?

— Dosyć spokojną.

— Możecie uważać się za szczęśliwe; nasza była strasznie przykrą. Kapitan mówił, że rzadko trafia się podobna. Skąd panie jesteście?

— Z New-Jersey.

— Ja także. Nie, doprawdy, zdaje mi się, że z Nowej Anglii. Mieszkam w New-Bloomfield. Czy te dzieci są pań obu?

— Tylko moje, przyjaciółka moja jest niezamężna.

— Tak?! Ja także. Czy panie same podróżują?

— Nie! Mój mąż jest z nami.

— Ja podróżuję z całą rodziną, samemu strasznie nudno. Czy pani jest innego zdania.

— Jest to możebne.

— Oho! Znów ukazuje się Piłat. Nazwa ta pochodzi od Poncyusza Piłata, który zestrzelił jabłko z głowy Wilhelma Tella. W przewodniku podróżnym opisano całą tę historyę, ale jej nie czytałem. Opowiedział mi ją pewien amerykanin. Ja nie czytam, ale chodzę z miejsca na miejsce i bawię się rozmową. Czy panie już widziały kaplicę, w której Wilhelm Tel miewał kazania?

— Ale on przecież nie miewał kazań.

— Owszem, mówił mi o tem ów amerykanin. Miał on zawsze otwartego Bädeckera i lepiej znał jezioro, niż ryby które w niem pływają. Dlaczegoż by nazywała się kaplica Tella? Czy panie już tu poprzednio były?

— Tak.

— Ja — nie. Jest to moja pierwsza podróż, ale byliśmy po trochu — w Paryżu i wszędzie. Na przyszły rok mam zamiar studyować w Harward i uczę się ciągle po niemiecku, gdyż inaczej nie będę przyjęty. Noszę zawsze gramatykę Ottona z sobą i zaglądam do niej, jeżeli mam chęć do tego. Teraz w podróży nie uczę się porządnie, ale powtarzam sobie niekiedy: ja miałem, ty miałeś, on miał, my mieliśmy, wy mieliście, oni mieli. Idzie to jak przez sen i znów jestem w ciągu paru dni wolny. Nauka języka niemieckiego strasznie

przez wszystkich, którejby Rochefort nie śmiał podnieść wysoko na ostrzu swego pióra i pogrozić nią przeciwnikom lub sprawcom. Gdyby nie on, iluż pokrzywdzonych w najrozmaitszych sferach nie miałoby obrońcy! *).

Oto w najogólniejszych zarysach portret nowego przywódcy skrajnej lewicy w Izbie francuskiej. Wchodząc do Izby, oświadczył, że idzie tam przedewszystkiem dla poparcia trzech wniosków: 1) całkowitej amnestyi dla skazanych za przestępstwa polityczne i prasowe, 2) oddzielenia kościoła od państwa i 3) postawienia b. gabinetu Ferrego w stan oskarżenia. Wnioski pierwszy i ostatni były właśnie przedmiotem narad na pełnem zgromadzeniu lewicy w Wielkim Oriencie, przyczem zawarto między radykalnymi i umiarkowanymi układ tej treści, że radykalni odstępują od wytoczenia procesu oportunistycznemu gabinetowi, umiarkowani zaś zobowiązują się poprzeć wzamian żądanie amnestyi. Na oddzielenie kościoła od państwa zgodzono się jednomyślnie. Uchwały te zakomunikowała obecnemu gabinetowi osobna delegacya. Prezes gabinetu deputacyę przyjął, nie dał jednak stanowczej odpowiedzi, wykręcił się sianem. Powstała tedy kwestya gabinetowa, sprawę tę jednak zawieszono aż do ponownego wyboru prezydenta Rzeczypospolitej na nowe siedmiolecie, czem zajmie się kongres połączonych Izb w początku przyszłego miesiąca. Sfery parlamentarne trudzą się dziś więc wyłącznie pytaniem, kto będzie owym nowym prezydentem? Czy Grevy pozostanie nadal, czy też miejsce jego zajmie kto inny, Brisson naprzykład? Naokoło Elizejskiego Pałacu i Pałacu Burbonów rozsnuwa się obecnie cała sieć zakulisowych intryg, których powtarzać nie będę.

Żywe zajęcie wywołała obecnie książka p. Raula Frary, zatytulowana *Question du latin*. Autor w sposób nader przekonywający i wymowny występuje przeciwko łacinie, której wykład tak poważną odegrywa rolę w średniem nauczaniu ze szkodą innych przedmiotów, ważniejszych i bardziej zajmujących. Dodaje pracy powyższej większego jeszcze znaczenia to, że autor jej nie jest bynajmniej człowiekiem stojącym po za obrębem ciała nauczycielskiego, lecz sam jest wychowańcem, laureatem i profesorem owego *l'Université de France* przeciwko wiekowym tradycyom którego występuje tak namiętnie. Istotnie, jak to już nieraz mieliśmy sposobność w tem miejscu zaznaczyć, „Uniwersytet francuski,“ zorganizowany ongi przez jezuitów, zachował do dziś dnia zbyt wiele cech swego średniowiecznego pochodzenia. Łacina jest wprawdzie kamieniem węgielnym średniego wykształcenia nie tylko we Francyi—stąd jednak przeważnie czerpano wzory, system więc najwłaściwiej atakować u samego źródła. P. Frary proponuje wprowadzić na miejsce łaciny nauki przyrodnicze, geografię, języki nowożytne, pragnie, słowem, tchnąć w zapleśniałe programy szkolne świeżego ducha nauki dzisiejszej. Zarzuty te przeciwko łacinie, postawione umiejętnie, zasługują tem bardziej na uwagę, że, jeśli gdzie, to we Francyi można bronić skutecznie nauki łaciny, sam bowiem język francuski na niej się wyrabiał. A przecież autorowi przekonywających argumentów nie zbrakło. Języki martwe niechże będą umarłymi i żywym nie bruździą! — woła on z głębokiem przekonaniem.

Z literatury francuskiej mamy do zapisania dwie wybitniejsze nowości: *Prêtre de Nemi*, pięcioaktowy „dramat filozoficzny“ Renana i dramat również Franciszka Coppée'go *Les Jacobites*, przedstawiony świeżo w Odeonie.

W „Kapłanie z Nemi“ ubrał Renan w szatę świetnego dyalogu palące zagadnienia społeczne, lubo treść zaczerpnął w zamierzchłej starożytności. Bohaterem tego udyalogowanego filozoficznego poematu jest Antistius, kapłan w Alba-longa za czasów założenia Rzymu przez Romulusa. W usta tego wieszczbiarza włożył Renan własne poglądy. Sędziwy sługa ideału jest tu wyrazicielem szlachetnego, etycznego pierwiastku, walczącego z barbarzyńską zasadą przemocy i gwałtu. W świątyni Nemi było ongi prawo, utrwalone zwyczajem, że każdy nowy kapłan wstąpić mógł na stopnie ołtarza tylko po trupie swego poprzednika, którego winien był przytem własną ręką zamordować. Antistius pierwszy zrzeka się tej krwawej tradycyi i zwycięża jedynie potęgą prawdy i zasad moralnych, czem wyrabia sobie opinię niebezpiecznego nowatora. W około głównej postaci autor zgrupował cały świat dążeń i kierunków, walczących o byt i pierwszeństwo. Przewodnią myślą dramatu jest to, że prawda i sprawiedliwość pod koniec muszą zwyciężyć. Wobec brutalnego dziś ubóstwiania siły przez wielu rzekomych apostołów nauki, idea podniesiona przez autora *Początków chrystanizmu* jest miłą oazą i ożywczem wytchnieniem wśród krwawych obrazów brutalnej walki, których nam nie szczędzą teorya i rzeczywistość. Jeden tylko można zrobić zarzut autorowi, że buja zbyt wysoko ponad mizernym padołem nędz i utrapień ludzkich i że z właściwym sobie eklektyzmem patrzy na ten świat zapasów.

Autor *Przechodnia* i *Severo Torelli* osnuł nowy swój dramat na dziejach Szkocyi. Jako bohater występuje tu postać historyczna, Karol Edward z domu Stuartów, zwany Pretendentem, który wsparty przez panią Pompadour wylądował w Szkocyi i tu stanął na czele klanów i szlachty, pragnących zrzucić ciężkie jarzmo angielskie. Wyprawa, jak wiadomo, nie powiodła się. Anglicy z niesłychanem okrucieństwem uśmierzyli powstanie, niefortunny zaś pretendent, tułając się czas jakiś, zdołał nareszcie znaleść schronienie na statku francuskim. Autor trzymał się dość wiernie opowieści historycznej. Nieodzowna intryga miłosna zasadza się na tem, że Karol Edward kocha się a raczej uwodzi żonę jednego z głównych przywódców swej armii, początkowo zwycięskiej, lorda Finghalla, w nim zaś kocha się całą duszą niewinne dziewczę, Marya, wnuczka ślepego lorda, podburzającego kraj do powstania przeciwko anglikom. Lady Finghall ginie jako amazonka w jednej z końcowych utarczek, Marya zaś w chwili odjazdu swego wyidealizowanego kochanka umiera.

Jacobici nie są bynajmniej dramatem o wyraźnie zarysowej akcyi, jasno wytkniętej tendencyi, brak im także charakterów kreślonych realnie i konsekwentnie. Sztuka jest wogóle mdła i bezbarwna, pisana jednak pięknym rymowanym wierszem i obfituje w bardzo poetyczne epizody.

W Odeonie przedstawiono ją nader starannie. W roli Maryi wystąpiła debiutantka, młodziutka panna Weber, córka gwardzisty rozstrzelanego podczas Komuny, którą krytyka paryska wita jako nową gwiazdę pierwszorzędną.

P.

*) Dużo w nim jest także i bezmyślnego krzykactwa. *Red.*

---

napręża umysł, można ją brać tylko w małych dozach, ale i wtedy wszystko się miesza, jak roztopione masło. Francuski co innego, ten idzie mi łatwo, umiem już j'ai, tu as, il a i tam dalej, tak płynnie jak a, b, c. W Paryżu łatwo mi szło i wszędzie, gdzie po francusku mówią. W którym hotelu panie mieszkają?

— W Schweizerhof.

— Co, doprawdy? Nie widziałem pań w salonie. Często tam bywam, gdyż spotykam wielu amerykanów i zawieram mnóstwo znajomości. Czy panie były już na Rigi?

— Nie.

— Chcą panie tam być?

— Mamy zamiar.

— W którym hotelu staniecie panie?

— Nie wiem.

— To niech panie staną u Schreibera, pełno tam amerykanów.

Na jakim okręcie panie przybyły?

— Na City of Chester.

— Ah, już się o to raz pytałem, ale ponieważ pytam każdego na jakim okręcie przybył, zdarza mi się nieraz powtarzać to samo. Czy panie pojadą do Genewy?

Tak.

— A w jakim hotelu będą panie mieszkały?

— Zapewne w pensyonacie.

— To się paniom nie podoba, w pensyonatach jest niewielu amerykanów. W jakim hotelu panie tu mieszkają?

— W Schweizerhof.

— Tak, prawda, już się raz o to pytałem, ale że każdego pytam o to samo, mam więc głowę pełną nazwisk hoteli. Pomaga to jednak w rozmowie i bawi mnie. Jest to prawdziwa ulga wśród takiej przejażdżki. Jak pani o tem sądzi?

— Tak, czasem.

— Mnie to kompletnie odświeża. Dopóki rozmawiam, dopóty nie nudzę się. Czy pani zgadza się na to?

Tak, czasem. Ale są wyjątki od tego prawidła.

— Oh, naturalnie! Ja też nie z każdym chętnie rozmawiam. Wielu ludzi zaczyna zaraz pleść brednie o sceneryi, historyi, obrazach, i innych tym podobnych ciężkich rzeczach, które niejednemu się uprzykrzą. Wtedy mówię zwykle: Teraz polecam się pańskiej pamięci, mam nadzieję, że się spotkamy—i idę dalej.

Skąd panie jesteście?

— Z New-Jersey.

— Tam do dyabła! Już się o to pani pytałem. Czy panie widziały już lwa lucernskiego?

— Nie jeszcze.

— Ja także nie; ale ten człowiek, co mi o Piłacie opowiadał, mówi, że to rzecz godna widzenia. Ma on dwadzieścia osiem stóp długości, ja nie mogę sobie tego wyobrazić, ale amerykanin tak twierdzi a on przecie dopiero wczoraj go widział. Już wtedy był to lew umierający, teraz prawdopodobnie zdechł, ale to nic nie szkodzi, gdyż z pewnością będzie wypchany... Jak pani mówiła, czy te dzieci są pani, czy też tej drugiej...

— Moje.

— Ah tak, prawda! Czy pani jedzie do... nie, o to już pytałem się. Na jakim okręcie... stój! także już się pytałem. W jakim hotelu... już mi to pani mówiła. Czegoż jeszcze brakuje. Hm... tak to. Jaką przeprawę... o tem jużeśmy mówili. Hm, hm. Zdaje mi się, że to już wszystko. Bonjour! Bardzo mi przyjemnie było poznać panie. Bądźcie zdrowe!

Z GALICYI.

Lwów, 15 listopada.

Rozruchy pilzneńskie. — Przestroga. — Wiersz Czerwieńskiego. — Sejm. — Gaszenie ognia. — Kombinacye dziennikarskie. — Nieprzejednani. — Czerwony książę. — Pociecha dla Galicyi. — Profesor Rittner.

Smutno, strasznie smutno zapisały się karty dziejów Galicyi w dniach ostatnich. W kilku wsiach powiatu pilzneńskiego — jak wam już wiadomo — wszczęły się między włościanami rozruchy. Na szczęście nie pozostawiły one po sobie krwawych śladów. Chcę wierzyć, iż wymysłem fantazyi jest wiadomość, że istniał zamiar wyprawy na dwory pańskie, jak ongi w r. 46-ym i jakoby był już nawet naznaczony termin w tym celu; ale wierzę, iż wobec gorliwości, z jaką się u nas podniesieniem duchowem i materyalnem ludu zajmują, i taki krwawy pochód byłby możliwy.

Słusznie bowiem mówi Czerwieński (w ostatnim numerze *Śmigusa* w wierszu p. t. *Mane, Thekel, Phares*).

Nic chłop się nie podniósł ni w duchu, ni w myśli,
Narodu własnego wciąż wrogiem.
. . . .
Na „starszą brać“ swoją, jak ongi przed laty
Wciąż niby zwierz dziki zażarty,
On dotąd pamięta pańszczyznę i baty,
Więc bić chce i wodzić pod warty!

Lecz powiedz mi, szlachto, od strasznej tej chwili,
Gdy waszej płynęła krwi rzeka,
Co wyście dla „młodszej“ swej „braci“ zrobili,
By chłopa przemienić — w człowieka?

Wołamy: „Oświaty, oświaty dla ludu!“
Wy chcecie wciąż ciemnych mieć „chamów,“
Nie chcecie poświęcić drobiny choć trudu,
Niepomni zachęcań, ni namów!

Ocknijcie się, śpiący, bo w ważnej godzinie
Nie zbawi was frazes, ni kares,
Więc szczera przestroga niech ku wam dziś płynie:
I *Mane* i *Thekel* i *Phares*.

Za dni kilka zbiera się sejm. W toku rozpraw nad budżetem oświaty i nad rozlicznemi sprawami, dotyczącemi włościan dowiemy się może, czy wypadki pilzneńskie i powyższa przestroga chociaż na razie jakiś skutek odniosły u imć panów braci szlachty i u naszych jaśnie wielmożnych.

Na razie burza już przebrzmiała, podobnie jak i przebrzmiały artykuły *Czasu*, gromiącego *Reformę*, że w tym wypadku usiłowała z muchy zrobić wielbłąda. Poczciwy *Czas!* Gasi ogień, jak może. Zresztą po co te hałasy? Żandarmerya zrobiła porządek a my mamy rzeczy ważniejsze. Ot np. zawierucha na półwyspie Bałkańskim, albo przesilenie ministeryalne we Francyi, albo wreszcie—że książę Adam Sapieha został *Geheimrathem.* Czyż to nie rzecz pierwszorzędnej wagi? Nie zliczyłbym nawet kombinacyj rozmaitego rodzaju, które od chwili tego mianowania krążyły po naszych dziennikach. Zdarzyło się, że książe pojechał do Wiednia, ażeby złożyć przysięgę w ręce cesarza. Powiedziano natychmiast, że został „powołany.“ W ślad za tem „powołano“ i marszałka i namiestnika do stolicy, a dzienniki w mig rozdały tekę „bez teki,“ fotel namiestnikowski i krzesło marszałkowskie. Szczęściem tylko, że żadnego z dygnitarzy nie skazywały na zupełną dymisyę. Dziś już się uspokojono, wszystko pozostało po staremu a książę pojechał do córki w Poznańskie.

Dla mnie to tylko ciekawe. Z szeregów „nieprzejednanych“ ustępuje jeden za drugim. Są ministrami, tajnymi radcami, ekscelencyami, mają zaszczyty i ordery. Dotychczas byli to zwykle trybuni ludu. Teraz ustąpił kto inny: człowiek, który nie potrzebował ani tytułu nowego, ani stanowiska w hierarchii urzędniczej, którego ojciec przebył szeregi lat na najwyższej w kraju godności bez tytułu, który wreszcie samem imieniem swojem i majątkiem stanowił siłę potężną. Z siłą tą liczono się u góry, sympatyczną była w kraju. Mnie postać ta pomiędzy naszymi magnatami (jeżeli ich mamy jeszcze) najwięcej przyciągała do siebie. *Czerwony* książe, nie wielki postacią, potężnego, choć nieokiełznanego ducha, idący przeciw wszystkim, z którymi go związki krwi i tradycyi łączyły, wypowiadający swe przekonania z siłą i otwartością, nieuginający się przed dworską intrygą, był mimo wybryków swoich osobistością, do której myśl chętnie lgnęła. Niestety, przyszła i na niego kolej. Został dygnitarzem, a równocześnie jeden z synów jego poświęca się zawodowi dyplomatycznemu, biorąc na początek klu z szambelański. Galicyo! ciesz się, jasności przybywa ci co nie miara. Kiedyż za nimi podąży reszta szeregowców? Tam u góry teraz wszystko przebaczają. Wszak księciu przebaczono i wybryk młodości i długoletnie gniewy. A innym ile?! Prędzej po smaczne kąski, ażeby kto nie schwycił!

Niech jeno kto nie posądza mnie, że wszystkich, którym dostają się jakieś tytuły, w czambuł do jednej zaliczam gromady. Bynajmniej. Wyłączam z niej takich, którzy na to zasługują. Mam tu na myśli dra Rittnera, profesora tutejszego uniwersytetu, który w ostatnich dniach został mianowany radcą namiestnictwa i szefem departamentu szkolnego, zastępcą namiestnika jako prezesa rady szkolnej krajowej. Rzadko znaleść osobę, którąby wiedzę łączyła z taką skromnością, jak Rittner. Sympatycznej powierzchowności, głębokiej wiedzy, umiał wyjątkowo zaskarbić sobie względy młodzieży uniwersytetu naszego. Położył też dla niej zasługi niezmierne nietylko pięknymi wykładami i przyjacielskiem obcowaniem, ale także napisaniem kilku cennych dzieł, z których podręcznik prawa kanonicznego (obecnie sam autor tłomaczy go na język niemiecki), stojący na wyżynie najnowszej nauki a jasno i barwnie opracowany, zapełnił dotkliwą szczerbę w naszej literaturze prawniczej. Mówią, że na miejsce Rittnera ma być powołany prof. Kasznica z Warszawy. Rittner ustąpił z katedry z powodu choroby piersiowej, która mu nie pozwala wykładać. Nie wątpię, że nabyte w zawodzie nauczycielskim doświadczenie i gruntowną swoją wiedzę potrafi zużytkować na nowym posterunku z korzyścią dla kraju.

Leszek.

LISTY KRAKOWSKIE.

Kraków, 22 listopada.

Wieczorki Mickiewiczowskie. — Czytelnia akademicka. — Upadek towarzystw św. Salomei i św. Łukasza. — Na co potrzebna religia.

Zbliża się koniec listopada a z nim i rocznica śmierci Mickiewicza — obchodzona w całej Galicyi przez publiczne wieczory. Kraków, jako siedziba przyszłego pomnika, przewodniczy w nich corocznie. Wieczory mickiewiczowskie, urządzane przez młodzież uniwersytecką, od lat wielu zasilają czystym dochodem fundusze pomnikowe, od niedawna zaś zyskały sobie rozgłos wielki wskutek przemówień każdorocznego prezesa Czytelni akademickiej. Od lat trzech już wypowiada się młodzież w sposób programowy, zerwawszy z tradycyą, która dawała jej głos publicznie tylko dla wynurzenia spowszechniałych zachwytów nad utworami wieszcza i dla złożenia sprawozdania z obrotu pieniędzy, zebranych na budowę pomnika. Mowy takie, jak Pawlikowskiego w 1882 i Jendla w 1883 r., wywołały ogromną burzę w kołach konserwatyzmu, który przeląkł się, iż pod jego okiem wyrósł kierunek myśli niezależny a daleko sięgający. Samo wspomnienie dręczy dotąd trwożliwych o dobro publiczne rektorów i profesorów. Choć czytelnia, znacznie podkopana przez akademickie władze, dużo ciężkich i trudnych chwil przeszła w ostatnim roku, grożąc co chwila upadkiem — to jednak komitet wieczoru umiał sprawy tak pokierować, że tegoroczny obchód w niczem nie ustąpi najświetniejszym z poprzednich. Ta biedna Czytelnia godna istotnie lepszej doli! Przez wiele, wiele lat była jedynym przytułkiem prawdziwego postępu wśród krakowskich murów, za jej sprawą lub przynajmniej pomocą ze stolicy wstecznictwa polskiego wybiegły w świat takie myśli jak wzniesienie pomnika Mickiewiczowi, założenie pisma akademickiego na zasadzie pozytywistycznej, ożywienie zapału dla sprawy krakowskiego Sokoła—itd.

Za to odarto ją ze czci, piętnowano nazwą szkoły zepsucia, wytykano palcami jej członków i więziono przywódców a pieszczono odstępców, starając się za jaką bądź cenę zgnieść ją lub zamienić w bagnisko sposobne do hodowli lojalnych bakteryj. Jednak w niepomyślnych warunkach Czytelnia istnieje i przy każdej sposobności składa dowody tłumionej, lecz silnej żywotności. W świeżo wydanem sprawozdaniu rocznem zarząd stowarzyszenia stawia się przeciw moralnemu uciskowi i ani myśli o złożeniu broni — mimo przerzedzonych szeregów przez dezercyę do popieranego przez senat bractwa filaretów, mimo nie zbyt obfitych funduszów, mimo współzawodnictwa towarzystwa p. n. *Zdrowie.* Samo już utrzymanie Czytelni przy życiu chlubnie świadczy o członkach zarządu.

Przed paru dniami pani Helena Darowska, jako przewodnicząca, uwiadomiła przez miejscowe dzienniki ogół, iż stowarzyszenie imienia św. Salomei dla wspierania wdów rozwiązało się wskutek braku środków. Upadek towarzystwa jest jednym dowodem więcej, jak ogół krakowski nie umie pięknej myśli podtrzymać długo. Przed ośmiu niespełna laty głośny w Galicyi ze szlachetnej na polu miłosierdzia inicyatywy, a wielce niezależnego sposobu myślenia, ksiądz Jan Siemieński założył świeżo rozwiązane Towarzystwo przy nader skromnych zasobach. W skład jego weszły panie krakowskie, przeważnie ze sfer obywatelskich, z bardzo tylko nieznacznym udziałem arystokracyi. Celem było wspieranie ubogich wdów przez datki pieniężne i pomoc w wynalezieniu środków do pracy, za sposób zaś osiągnięcia tego celu służyły składki pań należących do stowarzyszenia, oraz urządzanie loteryi, went, koncertów i wieczorków. Towarzystwo rychło zjednało sobie powszechne uznanie, dzięki przedsiębiorczej ruchliwości, jaką umiało rozwinąć. Przez kilka zapust rok po roku ubiegano się o wstęp na bale te św. Salomei, które o wiele lat uprzedziły swymi warunkami wełniane wieczorki warszawskie. Loterye urządzane w lecie wabiły zawsze tłumy publiczności przystępnością cen i doborem fantów, a na loterye gospodarskie św. Salomei, poprzedzające Boże Narodzenie, pospieszał cały Kraków. Towarzystwo miało charakter mieszczański i świecki, w przeciwstawieniu do bigoteryjno-arystokratycznego tonu towarzystwa św. Wincentego à Paulo, gdzie członkowie stanowią rodzaj bractwa praktyki pobożnej i wspierają przedewszystkiem osoby wypróbowane w katolickiej żarliwości, bacząc nie mniej na ich urodzenie. „Św. Salomea“ założyła sklep, w którym sprzedawano wyroby ubogich wdów z dostarczonego materyału wykonane — to jednak

przyczyniło się do jej ruiny materyalnej, bo przedsiębiorstwo musiało uledz konkurencyi zakładów i magazynów fachowych. Moralnie podkopały towarzystwo niesumienne plotki ludzi, którzy dla nazwy znienawidzili cel i głośno objawiali zdanie, iż gdzie wmięsza się ksiądz i arystokracya, tam koniecznie dziać się muszą nadużycia i protegowanie zubożałych na karciarstwie szlachetków lub zbankrutowanych panków. Arystokracya bardzo nieznaczny udział brała zawsze w działalności stowarzyszenia, a ksiądz od kilku lat już przeniósł się do Lwowa — fałsz więc pozbawiony wszelkiej prawdy.

Zaczął się u nas prawdziwy pogrzeb świętych. Za świętą Salomeą idzie do grobu święty Łukasz, a raczej jego imienia Towarzystwo. Wiadomą jest rzeczą, jaka powódź obrazów, stalorytów i olejodruków przywiezionych z zagranicy zalewa kraj nasz dla zaspokojenia wymagań estetyczne religijnych niższych warstw społeczeństwa a zwłaszcza ludu wiejskiego. Dziwaczne fabrykaty cudzoziemskiego smaku zalegają odpustowe stragany, zwieszają się u drewnianych pułapów chat wiejskich, świecą na ścianach kościołów i kaplic. Wartoby obliczyć choćby tylko same materyalne straty, jakie co roku ponosimy na rzecz zagranicy przez tę gałąź handlu—pomijając już wypaczenie pojęć piękna wśród mas, kupujących te wyroby. Towarzystwo św. Łukasza postanowiło ująć w swe ręce ten doniosły dział sztuki. W tym celu wydało całą seryę obrazów i obrazków, odpowiadających ściśle duchowi i potrzebom ludu — a zarazem zwróciło swe usiłowania ku dostarczeniu kościołom wiejskim za przystępną cenę utworów, wykonanych według czystych pojęć artyzmu—w miejsce dawnych, dziwacznych malowideł i potwornych karykatur. Ale tu właśnie towarzystwo nie było w stanie odpowiedzieć gruntownie zadaniu. Spokojne, idealne z natury swej malarstwo religijne, odrodzone od niedawna na zachodzie w szacie pełnej prostoty i pogody — nie znalazło do nas jeszcze wstępu. Dawne barokowe pojęcia, przesada i manierowanie panują w dziedzinie religijnego artyzmu lub odzywają się reminiscencye realnych, zamaszystych pociągów pędzla Matejki. Mamy religijnych malarzy, ale obrazy ich tylko z nazwy są religijne, a rzecz prosta, że tak być musi, bo czasy dzisiejsze kierunkowi temu zgoła nie sprzyjają, ani są zdolne do wypieszczenia naiwnej wiary średniowiecznych mistrzów lub mistycznego zachwytu anachoretów. Drogą natchnienia nie stworzy nam dzisiejszy malarz arcydzieła religijnego. Wobec popytu na takie utwory można tylko wyrozumować kierunek, wypracować go przez sumienne studya dawnych płócien, przez kształcenie się na wybranych wzorach—słowem przez udoskonalone naśladownictwo. Podołać temu może jedynie szkoła fachowa. Szkoły takie istnieją w Belgii, odpowiadając sumiennie potrzebom i wymaganiom nader licznym. Towarzystwo św. Łukasza szkoły takiej założyć nie mogło a inaczej nie było w stanie podołać swemu celowi. Szkoda jednak usiłowań, dość bezowocnie podjętych, bo już same ekonomiczne względy zalecały utrzymanie towarzystwa przy życiu.

Handel obrazkowy na nowo zasilać się zacznie u cudzoziemców i chłop polski znowu zawiesi nad łóżkiem niemiecki drzeworyt i w poczciwości swej gotów się modlić do... patrona żelaznego księcia. Upadek towarzystwa wydobywa na jaw cały fałsz religijnej gorliwości tych, którzy zawsze i wszędzie kłują naród w oczy wyrzutami oziębłości religijnej i tej oziębłości wszelkie złe przypisują. Pisma, które zamieszczają całą encyklikę przeciw masonom lub głosem Jeremiasza upominają się o katolickie szkoły, nie mają ani słowa żalu za gasnącem towarzystwem, które uczciwie pracowało, a w pierwszym rzędzie dla religijnych potrzeb ludu. Mężowie, którzy rozdzierają szaty na widok liberalnego posła i gotowi są choćby tańczyć i grać na lirze na dochód świętopietrza, nie znaleźli ani grosza w kalecie by wesprzeć to samo towarzystwo. Jakże prawdziwe słowa Schillera: *und nur vom Nutzen wird die Welt regirt*. Gdzie religia posłużyć może do zapewnienia ekonomicznej przewagi lub moralnego przewodnictwa, tam stanie w jej obronie zastęp szermierzy równie bitnych i dzielnych, jak bohaterowie giełdy; ale wolne od klerykalizmu potrzeby wiary nie wzbudzą w nich litości, ni współczucia.

W kołach artystycznych mówią wiele o zmianach, jakie zaszły w łonie tutejszego Towarzystwa sztuk pięknych. Jakoż weszli do zarządu zupełnie nowi członkowie, zmieniono statut i połączono się z upadającem towarzystwem lwowskiem. Nowy skład zarządu nie uczynił i nie uczyni zapewne nic stanowczego w kierunku pożądanym: interesa artystów stawia po nad obowiązkiem kształcenia smaku publiczności. Połączenie ze Lwowem ma na celu zwiększenie liczby akcyonaryuszów kosztem utrzymania stałej wystawy obrazów we Lwowie. Czy koszta dopełnienia tego warunku nie podkopią bytu połączonych towarzystw—wiedzieć nie można. Zawsze wątpliwem wydaje się, żeby uboga i niezbyt rozmiłowana w sztuce Galicya opłaciła tę nowość, zwłaszcza ze względu na przeważenie, bo Lwów nie posiada malarzy, którzyby napełnili pracami wystawę, a to tylko zapowniłoby jej trwały byt — to znaczy, że nie byłoby potrzeby zasilania się z Krakowa.

W. Poniecki.

Literatura czeska.

Wrchlický. Jarosław, **Selské Ballady.** Praha 1885 r.

Jak ongi wieszczy Lumir poruszał lutnią swoją pierwotną książąt czeskich stolicę, odwieczny Wyszehrad, tak dziś młodzieńczy z nad Wełtawy piewca, odczuwając bóle i troski ludu, zapanował nad sercami szarego tłumu pracowników, zasiadających już po długich walkach do biesiadniczego oświaty stołu. Z łona to wieśniaków czeskich wyszli mężowie, wyćwiczeni w twardej życia szkole, którzy ufając sile narodowej, z popiołów zapomnienia stworzyli nową w dziejach piśmiennictwa czeskiego epokę; od niej duch słowiański zadziwiające na polu nauki, poezyi, rzeźby, malarstwa i przemysłu czyni postępy.

Vrchlicki w zbiorku utworów zamierzył przedstawić w epizodach urywkowych niektóre fazy rozwoju zjawisk socyologicznych, wynikających ze wzajemnego stosunku wieśniaka względem pana—stosunku, który początek swój wywodząc z odrębnego założenia, wywołał starcia, będące przyczyną krwawego w dziejach czeskich dramatu, obracającego w rumowiska pracę wieków.

„Selské Ballady,“ to jakby perełki, błyszczące łzami biednego oracza. W „Etruskiej balladzie“ nakreślił autor piękny obraz, w którym rolnik zamiast pługa, używając kamienia ostrego, wyorał dziecię z siwymi włoskami, dzierżące w dłoni garść suchych kłosów. Naiwność kmiecia, kołysanego baśniami starej tradycyi, mimo tylu wieków, które mu włos szronem pokryły—to właśnie owo dziecię siwizną ubielone, garść zaś kłosów suchych w jego dłoni, to owoc pracy, łzami wzgardzonego i uciśnionego wieśniaka skropiony.

Oldrzych książę czeski, udając się na łowy, zoczył u studni dziewczę, na której widok, zapaliwszy się żądzą, zapomniał zgoła o przedsięwziętem polowaniu. Wnet pewien dworzanin budzi 'go z zachwytu odkryciem, iż wieśniak, postawiony na czatach, przywłaszczył sobie sarnę, mającą być łupem możnego pana, który przejęty gniewem, srogiemi karami grozi winowajcy. W chwili mającego wykonać się wyroku, córka nieszczęsnego kmiecia, urocza Bożenna, w której książę poznajo dziewicę u studni, prośbami swojemi życie ojcu swojemu ocala.

Hrabia Broda nie otrzymawszy od wieśniaków zadawnionej daniny, wszystkie ze wsi dziewczęta pachołkom na zamek swój zagnać kazał, a gdy już je ujrzał zgromadzone, kosy włosów przystrzydz polecił; jedna atoli dziewica, uzyskawszy miłość pana, od kary tej uwolniona i na noc w zamku zatrzymana. Gdy poranek w okna komnat starożytnego dworca zaświtał, nie stało już hrabiego wśród żyjących, albowiem przez bogdankę swoją uduszonym został.

Cały zbiorek Wrchlickiego składa się z dwudziestu drobnych utworów poetycznych. Niektóre z nich wyróżniają się charakterem tragicznym, jak np. „Lorecký ze Lkousze,“ „Ballada wánoczní“ (ballada w wigilię Bożego narodzenia) „Shnilé obilí“ (zgniłe zboże), „Ballada o smrti Jana Koziny,“ „Matyasz Uliczký,“ „Selské kázaní.“

Mimo krwawych łun, oświetlających obszary odwiecznych lasów, pól i łąk, jakaś niewysłowiona świeżość młodzieńczej przyrody i cichy smutek jakby mdławym obłoczkiem pokrywa ogólny koloryt tych obrazków. Wrchlicki, czerpiąc materyał do swoich „Ballad“ z pracy Swatka, p. t. *Selské Wzpurylspiski* (rozruchy) w Czechach, nadał poezyom swoim charakter, przypominający po części dumy ukraińskie.

Justyn Feliks Gajsler.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

M. Stankiewicz. **Zestawienie bibliograficzno-porównawcze utworów Adama Mickiewicza.** Kraków, Gebethner.

Boleśnie to powiedzieć o pracy starannej i sumiennej, że jest z gruntu chybioną, ale tak się rzecz ma z powyżej wymienioną pracą bibliograficzną. P. Stankiewicz zestawił w niej szereg stupięćdziesięciu tytułów poezyj Mickiewicza, drukowanych w czternastu zbiorowych wydaniach pism jego (od 1822 do 1885 r.), zaznaczywszy z całą skrupulatnością każdą stronicę, gdzie jaki wierszyk był pomieszczony. Zdawałoby się więc, że to rzecz pożyteczna, której wartość nie ulega żadnej wątpliwości. Dlaczego tak nie jest—postaramy się po krótce uzasadnić. Przedewszystkiem nie zdawał sobie p. S. sprawy z celu takiego zestawienia bibliograficznego. Służy ono głównie do oznaczenia czasu, w którym najpierw utwór jakiś był ogłoszony, powtóre wykazuje waryanty tekstu. Owoż żadnemu z tych zadań nie czyni zadość praca p. S. O drugim nie może być nawet mowy.

Przypatrzmy się bliżej pierwszemu. Do oznaczenia chronologii pism autora służą przedewszystkiem wydania pierwsze, ogłoszone osobno lub w czasopismach spółczesnych. P. S. zaś opiera się głównie na wydaniach zbiorowych, uwzględniając tylko tu i owdzie te pierwotne, najważniejsze. Wciąga natomiast do porównania niepotrzebnie takie edycye zbiorowe, jak lipska Brockhausa albo lwowska prof. Małeckiego, będące tylko błędnymi przedrukami, nieprzynoszącymi nic albo prawie nic nowego. Że nie wszędzie podano w tych arcyskąpych „objaśnieniach,“ jak

je autor nazywa, czasu i miejsca pierwszych druków, dość nadmienić następujące braki: Ballada p. t. „Ucieczka“ była drukowana w Poznaniu 1832 r. „Nowy Rok“—naśladowanie z Jean Paula—drukowany w *Bibliotece Polskiej* wyd. Dmochowskiego 1825, II 69. Wiersz „do L. Mackiewiczówny“ tamże, tudzież z autografu w *Bibliotece warszawskiej* z. r. „Sen“ tłomaczenie z Lorda Byrona pomieścił w zmienionym od dzisiejszego tekscie *Dziennik warszawski* 1826, IV 203—210. Wiersz w imionniku Hołowińskiej w *Gazecie codziennej* z 1860 nr 102 itd. A nawet tam, gdzie podano czas i miejsce pierwszego ogłoszenia, nie zawsze zadawalają nas lakoniczne cyfry. Przy baladzie „Renegat“ nadmieniono wprawdzie, że wyszła ona po raz pierwszy w *Dzienniku warszawskim* z 1826 r., ale nie wskazano nawet dwu redakcyj, nie zwrócono uwagi na rzecz najważniejszą, że balada ta składa się z dwóch części, z których druga znacznie później się ukazała w druku, jeżeli się nie mylę, dopiero w wydaniu Januszkiewicza z 1860. To samo powiedzieć można o wstępie do *Pana Tadeusza*. Kardynalną wadą „zestawienia“ p. S. jest dowolne szeregowanie poszczególnych utworów. Powiedzieć sobie, że „czas powstania bardzo wielu poezyj Mickiewicza nie da się oznaczyć dokładnie, przeto o zachowaniu ścisłego porządku chronologicznego w ich układzie myśleć nie podobna“ i opuścić ręce... do tego mogło prowadzić tylko złe zrozumienie słów p. Chmielowskiego, na którego się tu powołuje autor. Wobec tego, że niewiadomy *dokładnie* czas napisania kilkunastu (czy więcej) wierszy, układać je w ten sposób, żeby np. bajki z Lafontaina, pierwszy płód jeszcze pseudoklasycznej muzy Mickiewicza, umieścić tuż obok *Ksiąg pielgrzymstwa* albo *Konrada Wallenroda* na dziesięć pozycyj przed *Szanfarami* itp.—to dziwnie wygląda. Opuszczenie zaś artykułów politycznych i literackich Mickiewicza z epoki emigracyjnej, a uwzględnianie tylko z najrańszych lat jest także zupełnie niewłaściwem, ale bardzo charakterystycznem postępowaniem. Publiczność, wydawcy a nawet literaci znają tylko twórcę ballad i romansów *Grażyny, Dziadów, Wallenroda* i *Pana Tadeusza*, to znaczy Mickiewicza — poetę; o działalności jego politycznej, społecznej i literackiej w epoce po-Tadeuszowskiej mało co albo nic nie wiedzą.

Daleko korzystniej byłoby, gdyby p. S., zamiast olbrzymiej tabeli, z góry na dół zapisanej cyframi, przeważnie nic nieznaczącemi (bo cóż mi np. przyjdzie z tego, że wiem stronice i tomy kilkunastu wydań *Grażyny* albo *Ksiąg pielgrzymstwa*, z opuszczeniem kilkunastu innych wydań) podał na jednej kartce, gdzie i kiedy poezye Mickiewicza wyszły po raz pierwszy z druku, a z późniejszych wydań uwzględnił tylko te, które dają poprawki, zmiany albo waryanty tekstu. Praca byłaby zyskała więcej przejrzystości i ułatwiłaby wielce badanie chronologii i tekstu Mickiewicza.

Z drobniejszych usterek podnoszę kilka niedokładnych tytułów. Wobec tego, że mamy po dwa wiersze Mickiewicza p. t. „Sen“ i „Przypomnienie,“ trzeba dodać do jednego „Sen“ przekład z Byrona a „Przypomnienie“ z Puszkina, inaczej łatwo je zamienić. „Żywilla“ drukowana pierwotnie w *Tygodniku wileńskim* z 1819 r. razem z tłomaczeniem francuskiem; dopiero z tego wydania przedrukowano ją w *Bibliotece* Brockhausa. Z „zestawienia“ p. S. wygląda, jak gdyby przedmowa „Do krytyków i recenzentów warszawskich“ wyszła pierwej w wydaniu poznańskiem, niż petersburskiem, co jest naturalnie błędnem. W tytułach albumowych wierszy Mickiewicza trzeba już raz porzucić tę dziewiczą wstydliwość, czy tajemniczość i wydrukować otwarcie to, o czem wiedzą wróble na dachu, że wiersz do H. *** odnosi się do Henryki Ankwiczówny a wiersz w albumie M. *** do Maryli Wereszczakówny, litery K. R. oznaczają Karolinę Rzewuską, a M. S. Maryę Szymanowską itd. Wobec tego, że mamy dość wiele takich wierszy, oznaczonych gwiazdkami, trzebaby przynajmniej te wymienić dokładnie, które są powszechnie znane. Wymienić także trzeba, że wydanie poznańskie z 1832 jest Łukaszewicza, warszawskie z 1858 Wójcickiego, paryskie 1860 Januszkiewicza itp. Przecież niektórzy z tych wydawców łożyli nie mało pracy około dzieł Mickiewicza, zasługują więc na to, aby potomność wiedziała o tem. W końcu muszę tu podnieść jeszcze, że wiersz „Niepewność,“ którego nie widać na tabeli w wydaniu paryskiem Januszkiewicza, dołączono na osobnej karcie, jak to wiadomo także z *Bibliografii* Estreichera, do której trzeba było zajrzeć, bo Estreicher i na tem polu położył pierwsze a trwałe podwaliny.

H. Biegeleisen.

ODCZYTY.

O środkach upiększających.

Dr. Tomaszewicz-Dobrska.

Tytuł odczytu, mało odpowiadający jego treści, ściągnął zapewne do sali ratuszowej takie mnóstwo słuchaczek, że wszystkie miejsca, pierwszy raz dopiero w tym roku, były zajęte. Tymczasem p. Dobrska zawiodła oczekiwania ciekawych, w wykładzie swym bowiem pobieżnie wspomniała tylko o kosmetykach, natomiast zaś mówiła o chęci przypodobania się, o doborze płciowym itp. mniej zajmujących płeć piękną rzeczach. Nie koniecznie w ścisłym związku z treścią odczytu, ale nie bez korzyści dla słuchaczów prelegentka jasno określiła znaczenie wrażeń zmysłowych w tworzeniu się pojęć i wykazała względność poczucia piękna. Na szerokiem tle doboru płciowego, posiłkując się przykładami zaczerpniętymi z dzieł Darwina i innych przyrodników, starała się wykazać, że te same instynkty i skłonności wspólne są wszystkim prawie grupom zwierzęcym, zaczynając od skorupiaków a kończąc na człowieku. Popęd płciowy w istocie swej pozostaje niezmiennym, lecz przybiera tylko rozmaite formy stosownie do hierarchii ustrojowej i warunków życia. To szerokie, ściśle naukowe postawienie i traktowanie przedmiotu stanowi wybitne znamię wykładu p. Dobrskiej. Streszczać go nie będziemy, bo szczegóły, które obficie przytaczała, bądź znane są już wykształconym czytelnikom, bądź też przytoczone w małej ilości nie posiadają odpowiedniej wagi. Dodamy tylko, że ugrupowanie i oświetlenie faktów dokonane było bardzo umiejętnie. Prelegentka nie sadziła się na erudycyę, ale wybierała te szczegóły, które najwłaściwiej objaśniały jej wywody. Zauważyłbym tylko, że zbyt pobieżnie wspomniała o środkach przypodobania się u zwierząt ssących. Jeżeli bowiem nie posiadają one, jak ptaki, żywych barw, to mają natomiast brody, rogi, grzywy itp. dodatki, służące jedynie prawie do pozyskania względów osobników innej płci.

Uznając środki upiększające, jako naturalny wynik instynktu płciowego, prelegentka usprawiedliwia poniekąd ich używanie, rozumie się o tyle, o ile nie przynoszą one szkody pod innym względem. Odczyt swój zakończyła gorącą tyradą przeciw dobrowolnemu kaleczeniu ciała, przeciw torturom gorsetowym, maskom na twarzy, pancerzom z krochmalu itd. Szkoda tylko, że słuchając tej pięknej przemowy, jednocześnie widzieliśmy hołd prelegentki złożony modzie i jeszcze raz musieliśmy uznać słuszność przysłowia o zalecaniu wody i piciu wina.

Zaznaczyć wypada, że oprócz wymienionych zalet odczyt p-ni Dobrskiej odznaczał się piękną, powiedziałbym nawet, wykwintną formą. Nie właściwą nawet może jest tu nazwa odczytu, gdyż prelegentka mówiła z pamięci, od czasu do czasu spoglądając tylko na rękopis. Wymowa płynna, wyraźna, należycie cieniowana — dodawała wdzięku wykładowi. Szczerość, z jaką p-ni Dobrska wygłaszała swoje poglądy, bez lękliwych omówień i zastrzeżeń, zasługuje na zupełne uznanie i powinna być wzorem dla jej ostrożnych kolegów płci... śmiałej.

P.

LIBERUM VETO.

Symfonia odegrana na cześć p. Ćwierciakiewiczowej.— Jakie ideje nas łączą. — Gdybyśmy byli bułgarami. — Studenci pompujący wodę z kanałów. — Kule i świdry. — Prośba do natury. — Wspomnienie o jaskółce pod kloszem maszyny pneumatycznej. — J. Papłoński. — Co mu się należy w dobrych słowach.

Fejletoniści wielu pism warszawskich zapewne ani domyślają się, jak rzetelną sprawili mi przyjemność. Książek, prac naukowych i utworów beletrystycznych szerszego zakroju rodzi się u nas obecnie mało, a i ta szczupła garstka ledwie drobniutką częścią zwraca na siebie uwagę — krytyki. Prawdziwej też doznałem rozkoszy, spostrzegłszy, z jakim zapałem fejletoniści rzucili się do wychwalania zalet nowej encyklopedyi kucharskiej p. Ćwierciakiewiczowej. Boże, ile uniesień, ile szczerych uśmiechów, ile zgody w poglądach! Ani śladu rozterki, a jeżeli jakikolwiek głos odbiegał od innych, to tylko dla stworzenia wyższej, kontrapunktycznej harmonii. Po dalekie przykłady porównawcze sięgać nie będę, przytoczę najświeższy. Niedawno przedstawiono na scenie naszej dramat Augiera. W sprawozdaniach teatralnych jeden wołał: strzyżone, drugi—golone, ten biało, tamten—czarno, a biedny czytelnik, jak zwykle, splunął, zaklął po cichu: *ambo meliores*! i poprosił jesiennego wiatru, ażeby mu wywiał z głowy tę mętną wrzawę. Tymczasem jaka wspaniała łączność zapatrywań w ocenach książki p. Ćwierciakiewiczowej! Biblia, gdyby ją poddano krytyce, nie byłaby osądzoną jednomyślniej. Zmęczony rozdźwiękami naszego życia literackiego, z zachwytem przysłuchiwałem się temu hymnowi zjednoczonych serc i rozumów, a w talencie p. Ćwierciakiewiczowej ujrzałem cudowny dyapazon, jedynie zdolny zestroić różne instrumenty prasy. Co więcej, jestem przekonany, że gdybyśmy znajdowali się w położeniu bułgarów, gdyby ona stanęła na czele naszem i gdyby zawołała: „za *Kolendę dla gospodyń* i *365 obiadów* bracia naprzód!“ rozbilibyśmy serbów, a za kilka dni, zamieniwszy w perzynę Pirot i Nisz, biwakowalibyśmy w Belgradzie. Tak! Najczystszy i najzgodniejszy ton wydają sfinksy naszej krytyki, gdy na nich padną promienie światła p. Ćwierciakiewiczowej. Czarodziejka!

Szkoda, że jej względami nie cieszą się tak studenci, jak właściciele sklepów, podpadających jurysdykcyi *Bluszczu*, a nawet wierzę, że gdyby ta szanowna autorka w któremkolwiek ze swych dzieł podała przepis obiadów studenckich, wszyscy niezamożni wychowańcy uniwersytetu byliby często na nie zapraszani. Bez tych wskazówek szlachetne i litościwe serca nie wiedzą, jak pomódz ubogiej młodzieży, więc tylko wyszukują korepetytorów, strzegą im każdy dzień choroby lub rozrywki ucznia, a czasem dla odmiany kupują bilety na koncert (zwłaszcza jeśli śpiewa Mierzwiński). Wobec tej wspaniałomyśl-

ności nie dziwi mnie poręczona przez osoby wiarogodne wieść, że studenci, pozbawieni środków utrzymania, wynajmowali się w nocy do pompowania wody z zalanych kanałów. Dwa ruble za noc — zarobek dobry. Niestety, zima położy mu koniec. Sądziłem, że nadmiernie przeciągająca się i słotna jesień jest objawem litości nieba nad biednymi studentami. Było to wszakże złudzenie, gdyż jakkolwiek deszcz kropi, kanałów nie zalewa i przy pompach zajęcia nie daje, Pamiętasz, czytelniku, jak to rozczulaliśmy się nad bohaterami *Samopomocy* Smilesa, którzy przy kagankach, na zimnych poddaszach, o głodzie, po całodziennej pracy w warsztacie lub sklepie, godziny krótkiego odpoczynku poświęcali nauce. Dziś już by nas nieopanowywała taka rzewność, bo w naszych stosunkach na każdym kroku spotykamy podobne a nieraz wymowniejsze widoki. Bo przyznajcie, że student, pompujący wodę z kanałów w nocy, ażeby módz się uczyć w dzień, jest obrazem w galeryi społecznej, przed którym stanąć — no i westchnąć warto. A może nawet uchylić kapelusz? Nie przez szacunek dla męczeństwa, które pod taką lub inną postacią stało się dla większości powszednią formą życia, ale dla wielkiej siły moralnej. Gdy widzę młodego człowieka, który, tocząc się po świecie szybko, jak kula bilardowa, wyskakuje i pęka — żałuję go; ale gdy zobaczę pracownika, który, wwiercając się jak świder w skały, przedwcześnie łamie się — boli mnie ta strata. Bo nie ów pierwszy, ale ten drugi był społeczeństwu potrzebniejszy. Charakterów żelaznych, stalowych, dyamentowych charakterów daj nam, naturo, ile dać możesz, a nie zmarnuj ani jednego z tych, którzy zdobywają wiedzę pracą nocną przy pompach kanałów.

Przebili się przez pierwsze zapory, odebrali pomazanie duchowe w najwyższej świątyni wiedzy — i cóż z tego? — zapytasz czytelniku. Czy z dyplomem uniwersyteckim nie będą musieli może zarabiać na życie ciężką robotą przy kanalizacyi? Poniekąd masz słuszność. Nauczyciel fizyki, chcąc nam pokazać działanie maszyny pneumatycznej, wsadził pod klosz jaskółkę i zaczął z niego wypompowywać powietrze. Biedna ptaszyna z początku podskakiwała, ale wkrótce zaczęła coraz szerzej otwierać dziobek i oddychać nim coraz trudniej, nareszcie wysunęła języczek i padła uduszona. Męczeńska jej śmierć długo pokutowała mi w pamięci, ale powoli zatarła się. Trwałe są jednak wrażenia młodości! Tyle lat już upłynęło, a biedna jaskółka w kloszu maszyny pneumatycznej często staje mi przed oczami, otwiera dziobek, coraz szerzej, coraz szerzej... ale odpędzam przykrą marę, zanim skona. Jakaś niewytłomaczona drażliwość nie pozwala mi nawet we wspomnieniu patrzeć na śmierć tego ptaka. Czemuż nie mam wyznać? Poprostu boję się jej... Wyobraźnia zaczyna mi mnożyć jaskółki, nadawać im ludzkie postacie, słyszę ssanie tłoków olbrzymiej maszyny pneumatycznej...

Ale co to wszystko ciebie, czytelniku, obchodzi — prawda? Pytałeś mnie o późniejsze losy pompierów w studenckich mundurach? Mogą pokonać wszystko, tylko nie pokonają .. próżni.

Nie dla nich przeznaczona ta kartka polskiego Plutarcha, na której zapisano żywiorys zmarłego przed kilku dniami Jana Papłońskiego. Zeszedł on do grobu jako ceniony i rzeczywiście zasłużony dyrektor Instytutu głuchoniemych i ociemniałych. Tymczasem miał swoje okresy szerszej działalności, która należała do innego cennika i zdobyła inne zasługi. Nieboszczyk piastował najrozmaitsze urzędy: był cenzorem, wizytatorem, profesorem Szkoły Głównej itd. Wielopolski powierzył mu nawet częściowy wybór przewodników tej instytucyi. Może tą rolą ucharakteryzował się głównie Papłoński na uczonego, którym nigdy nie był. Wykładał językoznawstwo porównawcze, bo zajmował odpowiednią katedrę, ale naukę tę znał bardzo powierzchownie i oprócz kilku ogólnikowych i podstawy ścisłego badania pozbawionych broszurek nic literaturze polskiej w zakresie swej „specyalności“ nie zostawił. Był to raczej profesor-urzędnik, niż uczony. Ostatnie lata jego życia stanowią dość ostrą sprzeczność z poprzedniemi pod każdym względem. Pomijając inne porównania, zaznaczymy tylko, że niezdolny profesor uniwersytetu stał się wybornym dyrektorem Instytutu głuchoniemych i ociemniałych. Zakład ten winien mu wiele trwałych fundamentów i ulepszeń.

Nietylko całość życia człowieka, ale i część pożyteczna ma swoją wagę. W oszczędnej zaś, z małych sum i ułamków złożonej rachubie naszych korzyści społecznych tem bardziej żadna drobinka nie powinna być opuszczoną. Dla tego musimy dobrem wspomnieniem nagrodzić pracę zmarłego dyrektora Instytutu głuchoniemych i ociemniałych.

Poseł Prawdy,

NA WIDNOKRĘGU.

Lepsze objawy. — Gazety prowincyonalne. — Cena gazu. — Na kolei dąbrowskiej. — Odyssea Pietrka. — „Ciekawa sprawa.“ — Tortury w Płocku. — Ludożercy. — Myszy.

Nietylko pisma warszawskie, ale i korespondenci z prowincyj skarżą się na zniechęcenie ogólne, na upadek moralny i ekonomiczny, z przyjemnością więc zaznaczamy szereg faktów, które poniekąd przeczą tym złowróżbnym głosom. Miasta przynajmniej okazują jakie takie objawy życia: Lublin i Kalisz urządzają Towarzystwa kredytowe, Łódź Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń i muzyczne, w Radomiu powstaje oddział Towarzystwa zachęty przemysłu i handlu, a istniejący już w Łodzi takiż oddział stwarza nową sekcyę przemysłowo-rolniczą, której dotychczas brak Warszawie. W dodatku Radom zaprowadza tramwaje i wraz z Lublinem zamierza zreformować miejscowe organy prasy. Świadczy to, że ożywienie obejmuje nietylko zakres t. z. interesów realnych, to jest według słownictwa warszawskiego tych, które dadzą się uchwycić i wsadzić do kieszeni, ale powoli wkracza w sferę życia umysłowego. Obawiam się tylko, czy reforma wyjdzie na dobre pismom miejscowym, zwłaszcza zaś *Gazecie radomskiej*, która dotychczas była najlepiej prowadzonym dziennikiem prowincyonalnym, teraz zaś przechodzi pod kierownictwo wybrakowanego wieszcza. *Gazeta lubelska* natomiast zapowiada powiększenie formatu, odpowiednio „z rozszerzeniem się koła działalności społecznej“ i grona współpracowników. Większa ilość współpracowników przyda się bezwątpienia organowi lubelskiemu, ale wątpię, czy potrzeba zwiększać format, jeżeli przy dotychczasowym redakcya łata brak materyału wstawianiem treści różnych pism warszawskich. Bądź co bądź, życzę jej wszakże powodzenia, jak również i tramwajom radomskim, w których pożytek dla miasta i zyski dla przedsiębiorcy — nie wierzę.

A zresztą, kto tam wie, bardzo być może, że tramwaje radomskie będą się opłacać i stosunkowo taniej wozić publiczność, niż warszawskie. U nas bowiem wszelkie wyliczenia zmieniają się stosownie do długości i szerokości geograficznej. Dotychczas np. sądzono, że oświetlenie gazowe możliwe jest tylko w większych miastach, przy znacznej ilości konsumentów, ponieważ wymaga dużych nakładów na budowę fabryki itd. Tymczasem rzeczywistość nas uczy, iż w Wilnie 100 stóp sześciennych gazu kosztuje 4 ruble, w Warszawie 2 ruble 75 kopiejek a w Lublinie tylko 2 ruble, kiedy według obliczeń powinno być wręcz przeciwnie. Widocznie tajemnicze „coś.“ które płacze wszelkie rachuby ludzkie, istnieje nietylko w naturze, ale i w towarzystwach oświetlania gazem. A może w Lublinie gaz posiada tylko dwa wymiary? Nie śmiejcie się, czytelnicy, jest to bardzo prawdopodobne, bo przecie reporter pisma, które posiada najlepsze informacye, mówiąc o powyższym fakcie, wyraźnie pisze „stóp kwadratowych.“ Nie gniewam się nań zresztą za to, bo on przynajmniej pisze po polsku, kiedy koledzy jego wynajdują nieznane w języku naszym „stopy kubiczne.“

Własną, oryginalną logikę posiada także zarząd drogi dąbrowskiej, lub dokładniej mówiąc — jego podwładni. W Będzinie otwarto w d. 13 listopada długo oczekiwany przystanek i tegoż dnia zatrzymał się pierwszy pociąg, idący z Sosnowca. Biletów wszakże nie można było dostać, bo „przez zapomnienie nie zostały wysłane.“ Kilkunastu pasażerów wsiadło w Będzinie, sądząc, że należność zapłacą na stacyi następnej. Ale naiwność ich surowo ukarano, gdyż oprócz ceny biletu kazano im uiścić po 30 kopiejek kary, za to, że nie kupili biletów, których z winy zarządu kolei nie mogli dostać. Sprawdziło się w tym wypadku przysłowie o ślusarzu i kowalu.

Przysłowie to posłużyć może jako nadpis i do „dziwnej historyi o głupim Pietrku,“ którą zamieszcza *Dziennik łódzki*. Prostota epiczna tego opowiadania zachęca nas do powtórzenia go prawie w całości. Był sobie głupi Pietrek, któremu po rodzicach zostało aż „100 złotych majątku;“ pieniądze te wszakże zabrał opiekun, chłopaka zaś oddał w służbę do innej wsi. „W poniewierce między ludźmi doczekał się lat, kiedy potrzeba było stanąć w powiecie do losowania, o czem jednak głupi Pietrek nie mógł wiedzieć i dlatego nie stawił się w swoim czasie. Odtąd dopiero zaczęła się prawdziwa niedola. Opisano go jako zbiega, prowadzono z jednej kancelaryi wójta do drugiej, stamtąd do kozy itd. Po wypuszczeniu na wolność wójt nie chciał mu wydać paszportu, żądając, aby zapłacił 3 i pół rubla za pobyt w szpitalu. Dopiero w czasie ostatniego poboru został wzięty do wojska. W ustawicznych wędrówkach etapem z przeziębienia popadł (?) w niemoc, z której go nawet wójtowska władza nie będzie wstanie wydostać.“

Znakomitem w swoim rodzaju jest zakończenie tej opowieści w parafrazie *Dziennika łódzkiego*. „A gdzie się to wszystko działo i kiedy? Nie wiemy — to sekret.“ Ten prawdziwie epiczny zwrot jest zupełnie na miejscu w dobie obecnej, kiedy nawet pisarze gminni pozywają już gazety o dyfamacyę.

To samo pismo pod tytułem „ciekawa sprawa“ podaje wiadomość o procesie pomiędzy przedsiębiorcą i robotnikiem. Zarząd fabryki wydalił majstra, bez wypowiedzenia czternastodniowego i tłomaczył się przed sądem, że wypędzony był pijakiem. Sędzia przyjął ten argument i odrzucił pretensyę robotnika. *Dziennik* uważa tę sprawę jako przestrogę dla majstrów, hołdujących trunkowi; zapewne jest ona przestrogą, ale dla wszystkich pracowników, że droga sądowa w wypadkach podobnych nie zawsze prowadzi do zaspokojenia słusznych żądań. Argumenty takie, że robotnik jest pijakiem lub leniuchem, nie wiele mówią, bo najprzód każdy fabrykant może bronić się w ten sposób, a powtóre ani pijaństwo, ani lenistwo nie powstają nagle, skonstatowanie ich wymaga dłuższego przeciągu czasu, dostatecznego w każdym razie do wypowiedzenia miej-

sca. Dla czego zaś cała ta sprawa nosi nazwę „ciekawej“—objaśnić sobie nie umiem.

Doprawdy ciekawy jestem, czy może być co ciekawego w naszych nieciekawych czasach. Może chyba wskrzeszenie tortur w Płocku. Ale nie, bo ten szanowny obywatel, który dziewczynę służącą, posądzoną o kradzież, zamknął w ciemnej piwnicy, na ścianie której narysował fosforem ognistego smoka, miał przecie nie mniej szanownych poprzedników, „wybijających“ zeznania rózgami, rozbierających do naga schwytane z jagodami w lesie dzieci wiejskie i t. p. współczesnych bohaterów. Wprawdzie owa dziewczyna w Płocku z przestrachu umarła, tamte zaś wypadki nie kończyły się śmiercią, ale to tylko wynik różnej wrażliwości torturowanych. We wszystkich tych wypadkach zamiary zawsze były „jak najlepsze“ i wątpię wcale, że i okrutnik płocki znajdzie dla swej obrony wymownych a drogo płatnych, przysięgłych „cudzołóżców myśli i słowa.“

Są jednak rzeczywiście ciekawe zdarzenia. Opór, okazywany komornikom sądowym, jest rzeczą bardzo zwyczajną i nawet praktyka życia wyrobiła już pewne, stale powtarzające się formy tego występnego czynu. Tradycya chłopska nakazuje, żeby opór stawiły tylko baby, które sąd jakoby lżej karze, tradycya szlachecka radzi zamykanie wykonawcy wyroków w chlewie i inne tym podobne fortele. Słyszałem nieraz o komornikach bitych, wyrzucanych przez drzwi lub okna, zamykanych, pojonych, wywożonych na bezludne kępy, oszukiwanych, ale o komorniku, któremu groziło zjedzenie, dowiedziałem się teraz dopiero. Było to w Kielcach: przedsiębiorca pokazujący dzikich ludożerców australskich zadłużył się miejscowym kapitalistom i dla wyegzekwowania należności wyznaczony został komornik. Kiedy jednak śmiały urzędnik wszedł do mieszkania, zajmowanego przez dzikich, ci rzucili się nań i chcieli go pożreć. Jakim sposobem zdołano jednak odgadnąć ich zamiary? Bardzo prostym, dzicy bowiem nie są wcale australczykami i jakkolwiek pochodzą rzeczywiście ze wschodu, nie dzieli ich od nas nietylko ocean, ale nawet morze. Krwiożercze zamiary swoje wygłosili oni w języku, który komornik z obowiązku urzędu swego znać musi. Bądź co bądź przestraszony wykonawca cofnął się, a pomysłowi „ludożercy“ umknęli w nocy z Kielc.

I jeszcze jeden nadzwyczajny wypadek. W Turku znalazło się kilkunastu ludzi, prawdopodobnie pozbawionych zdrowego rozsądku, który zamiast zajęcia się „realnymi interesami“ postanowili urządzić posiedzenia literackie, na których czytać będą pisma i książki, prowadzić rozprawy a nawet przedstawiać własne wypracowania, słowem—uczyć się. Bodajby jak najwięcej nauczyli się sami i przykładem swoim nauczyli innych, ale w każdym razie, powtarzam, dziwny to wypadek. Natomiast nie jest wcale dziwnem, że w kraju, którego króla zjadły kiedyś myszy, potomstwo tych zwierzątek rozplenia się obficie. W olkuskiem żarłoczne myszy zjadają całe sterty zboża w polu, z innych zaś okolic donoszą również o znacznej w r. b. ilości tych szkodników. Słowem rolnicy oprócz celnych, podatkowych i innych myszy, nadomiar klęski borykać się muszą jeszcze i z naturalnemi. Że nie jest to bagatela, świadczy list zamieszczony w *Wieku*. Korespondent opowiada, że za pomocą wynalezionego przez siebie środka wygubił na 10 morgowym kawałku 35,000 myszy. Gdyby każda z nich zjadła tylko kwaterkę zboża, to i wtedy strata wyniesie 68 korcy. Dawne myszy były lepsze, bo zjadały tylko Popiela, my chętnie oddalibyśmy na pożarcie ich potomkom Popielów warszawskich i krakowskich—cóż kiedy nie chcą, twierdząc, że niesmaczni, i wolą zboże.

J. Nieborski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 3 grudnia.

Pomiędzy Serbią i Bułgaryą nastąpiło zawieszenie broni. Poprzednio jednak wojska bułgarskie wkroczyły na ziemię serbską i po kilkudniowych, zaciętych walkach zajęły Pirot. Z inicyatywy Rosyi mocarstwa zwróciły się do obu przeciwników z żądaniem zaprzestania działań wojennych. Król Milan zgodził się chętnie, ale książe Aleksander postawił twarde, chociaż słuszne warunki, zażądał: aby wojska serbskie opuściły granice bułgarskie (oddział stojący pod Widdyniem), i żeby Serbia przedstawiła rękojmię, iż zapłaci koszta wojenne. W odezwie wydanej z tego powodu wyraźnie zaznaczył, że ustępuje tylko pogróżkom Austryi.

Rząd wiedeński znalazł się więc w kłopocie, uwidoczniła się bowiem jego opieka nad Serbią. Obecnie też gazety półurzędowo tłomaczą, że poseł nie groził wcale, lecz uprzedzał, iż książe „może spotkać wojska austryackie.“

Sprawa wikła się coraz bardziej, bo Bułgarya ma wszelkie prawo żądać wynagrodzenia za poniesione straty, ponieważ zaś Serbia nieda go, pozostaje tylko Rumelia. Pomyślny dla bułgarów wynik nabiera tem większego podobieństwa, że polityka rosyjska uległa pewnym zmianom. Najwyższy rozkaz, ogłoszony przed paru dniami, zawiera pochwały dla męztwa wojsk bułgarskich i uznanie zasług oficerów rosyjskich, którzy je organizowali. Pisma posiadające dobre informacye utrzymują, że i postępowanie księcia Aleksandra okazuje się teraz w innem nieco świetle. Ousunięciu go, rozumie się, nie może już być mowy.

Konferencyę uważać można za rozbitą. Pełnomocnik angielski, który nie chciał podpisać postanowienia o wysłaniu komisarza tureckiego do Rumelii, wystąpił obecnie z propozycyami nowemi w imieniu swego rządu. Treść wniosków tych nie jest dokładnie znaną, nie ulega jednak wątpliwości, że dotyczą one uznania spełnionej unii, w tej lub innej formie.

Turcy tymczasem gromadzą wojska w Adryanopolu, grecy znowu nad granicą Tesalii i Epiru. Zaszła nawet maleńka potyczka między dwoma wysuniętymi oddziałami, po której obie strony cofnęły się.

W Hiszpanii utworzono regencyę, królowa bowiem, córka Alfonsa — Mercedes liczy dopiero 5 lat. Do steru rządu powołany został gabinet liberalny Sagasty. Nie można jednak powiedzieć, że istniejący stan rzeczy ma widoki trwałości. Już w parę dni po śmierci króla wykryto spiski republikańskie i karlistowskie. Rewolucya w Hiszpanii nietylko jest prawdopodobną, ale nawet pewną w mniej lub więcej krótkim czasie. Po śmierci marszałka Serrano dynastya nie posiada w liczbie swoich doradców nikogo, komu mogłaby wierzyć lub komu wierzyłby naród. Niepewność położenia wikła się jeszcze tem, że królowa — wdowa jest brzemienną: jeżeli urodzi syna, to ten będzie miał prawo do tronu.

Wybory w Anglii odbywają się w dalszym ciągu i bodaj czy wyniki ich, wbrew wszelkim przewidywaniom, nie wypadną na korzyść liberałów. Dzisiaj przynajmniej posiadają oni większość dwudziestu głosów. Najprawdopodobniej obie partye bezwzględnej większości nie uzyskają i potrzebować będą poparcia irlandczyków, ci zaś przychylniejsi są dla torysów. Zwycięztwo liberalnych byłoby jedynie objawem wdzięczności nowych wyborców, bo gabinet zachowawczy błędów żadnych nie popełnił, owszem, polityka jego w sprawie bałkańskiej zyskała nawet uznanie przeciwników, wyprawę zaś do Birmy można prawie uważać za skończoną i to z pomyślnym dla Anglii rezultatem.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Dniewnik Warsz. pisze w sprawie zatargu mieszczan z Końskiejwoli i włościan okolicznych z żydami:

„W kwietniu r. z. 1884-go do Końskowoli przybył nowy ksiądz, wikaryusz Władysław Frankowski, przeniesiony tu z Hrubieszowa, gdzie rozbudził niepokój wśród unitów, którzy przyjęli prawosławie, ale się w niem jeszcze nie ukrzepili. W rok blisko potem właściwe władze otrzymały doniesienie, że ks. Frankowski nie dał rozgrzeszenia spowiadającej się u niego Maryannie Grzegorczyk za to, że znajduje się ona w służbie u rodziny prawosławnej, co też zostało stwierdzonem przy jej badaniu. Taki nowy objaw nieprzyjaźni względem prawosławia w ks. Frankowskim nie mógł być przepuszczony bezkarnie, tembardziej, że dostrzeżono ją już dwa razy. Ponieważ zaś oświadczenie Maryanny Grzegorczyk, stwierdzone przy jej badaniu, dowodziło oczywiście, że ks. Frankowski nie zaniechał szkodliwej swej działalności, przeto z rozporządzenia Głównego Naczelnika kraju został zamknięty na rok w klasztorze reformackim w Wysokiem Kole, w powiecie kozienickim. W początkach czerwca r. b. 120 mieszkańców Końskowoli, katolików, podało do JW. głównego naczelnika kraju prośbę, w której oświadczali, że ks. Frankowski jest niewinny, że Maryanna Grzegorczyk złożyła fałszywe zeznanie i że do tego skłonili ją żydzi, starający się usunąć rzeczonego księdza z Końskowoli, gdzie walcząc przeciw pijaństwu, znacznie zmniejszył używanie gorących trunków i zmniejszył też dochody otrzymywane z propinacyi, znajdującej się przeważnie w ręku żydów. Pomyślne rezultaty działalności ks. Frankowskiego przeciw pijaństwu zostały też skonstatowane, przy zebraniu bliższych o tem wiadomości. Tymczasem mieszkańcy Końskowoli podali do JW. Głównego Naczelnika kraju nową prośbę, w której powoływali się na oświadczenia złożone przez rozmaite osoby, a dowodzące, że żydzi intrygowali przeciw ks. Frankowskiemu dla własnego interesu. Wskutek tego, z rozporządzenia JW. generał-gubernatora przeprowadzone zostało nowe śledztwo, przyczem Maryanna Grzegorczyk cofnęła swoje poprzednie zeznanie. Z badania rozmaitych osób okazało się, że żydzi istotnie starali się zaszkodzić ks. Frankowskiemu, że podmawiali niektórych mieszkańców Końskowoli, ewangelików, aby przyjęli udział w jego wydaleniu i namawiali pewną katoliczkę, służącą u rodziny ewangelickiej, aby oświadczyła że ks. Frankowski nie udziela jej komunii za to, że służy u niemców. Zresztą lubo rezultaty śledztwa nie dały pewnych podstaw do zupełnego przekonania, które z zeznań Maryanny Grzegorczyk jest prawdziwem, śledztwo to przecież przedstawiło ks. Frankowskiego w pomyślniejszem świetle. Ze swojej znów strony ksiądz ten w ostatnich dniach sierpnia zwrócił się do JW. Głównego Naczelnika kraju z podaniem, w którem, powołując się na stargane zdrowie, prosi o uwolnienie go z klasztoru. Mając to wszystko na względzie JW. Główny Naczelnik kraju, uznając za możliwe okazanie pobłażania ks. Frankowskiemu, rozkazał uwolnić go z klasztoru i jednocześnie zawiadomił zarządzającego dyecezyą lubelską, że nie zachodzą żadne przeszkody przeciw udzieleniu wspomnionemu księdzu posady wikaryusza.“

WYSTAWA SZKICÓW.

W ciasnym dosyć lokalu t. z. wystawy starożytności umieściła się tegoroczna wystawa szkiców. Niepodobieństwem jest wyliczać szczegóło-

wo tej olbrzymiej ilości wszelkiego rodzaju utworów pendzla, zwracamy więc uwagę tylko na wybitniejsze. Dodamy jeszcze, że sprawozdanie dokładne wymagałoby chyba całego szeregu artykułów, w pobieżnej zaś wzmiance, łatwo bardzo wiele rzeczy przeoczyć lub zapomnieć.

Na pierwszem miejscu postawić należy prace Maksa Gierymskiego, którego wielki talent przebija się nawet w tych dorywczych, z niechcenia wykonanych utworach. Wyróżniają się jeszcze szkice olejne Wyczałkowskiego, starannie wykonane obrazki włoskie Wiesiołowskiego, niektóre Szyndlera nadzwyczaj tanie a jednak starannie malowane krajobrazy (olejne i akwarele) Gościmskiego, niektóre rysunki Jankowskiego, Konopackiego wreszcie główki kobiece na złotem tle Dukszyńskiej. Humoryści warszawscy umieścili na wystawie całą seryę szkiców, rysowanych lub malowanych, pomiędzy którymi najlepsze są, rozumie się, akwarele Kostrzewskiego, szczególniej zaś jedna, przedstawiająca młodego parobczaka wiejskiego, zaciągającego się po raz pierwszy papierosem.

Oprócz utworów sztuki wystawa mieści cały szereg wyrobów tak zwanego przemysłu artystycznego. Są to malowidła na porcelanie, muszlach, przedmiotach galanteryjnych, wachlarze, ekrany itp. W dziale tym wyłącznie odznaczają się kobiety. Wspomniane przedmioty odznaczają się dobrym smakiem i elegancyą, ale z prawdziwym artyzmem mało mają wspólnego. Tymczasem na wystawie zajmują najlepiej oświetlone miejsca, prasa zaś poświęca im szczególną uwagę. Roboty pań Miniewskiej, Kanigowskiej, Gersonówny, Poświkowej i innych świadczą, że w sztuce zastosowanej do przemysłu Warszawa współzawodniczyć może z zagranicą, aleć nie trzeba znowu cacek tych porównywać z utworami prawdziwego talentu.

Rzeźba liczy bardzo niewielu przedstawicieli, ale za to „Grajek“ Kurzawy i dwie figurki z terrakoty tegoż artysty, przedstawiające charakterystyczne typy z Powiśla — uderzają werwą i życiem.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Przewodnik dla podróżujących po drogach żelaznych w Królestwie polskiem K. Waltera i J. Czaplickiego wyszedł w wydaniu drugiem. Zawiera on nietylko rozkłady ruchu pociągów, ale i objaśnienia ustawy kolejowej, oraz ogólne informacye. Tego rodzaju przewodniki, wydawane za granicą w niezliczonych postaciach, wykazały już tak dalece swą użyteczność, że jej dowodzić nie potrzeba.

Przemysł fabryczny w Poznańskiem rozwija się bardzo powoli. W 1884 r. znajdowało się w Księstwie 923 zakłady, używające jako motoru pary i 3199—wody, siły pociągowej lub pracy ręcznej. Młynów parowych liczono 149, wodnych 395 i wiatraków 2382, gorzelni 441 (u nas 386), cukrowni 16, olejarni 195 (8 parowych) tartaków 87, cegielni 777, torfiarni 280. Wogóle, jak z tych cyfr widać przemysł w Księstwie stoi w ścisłym związku z rolnictwem. We wszystkich fabrykach pracowało 30,917 robotników.

Opłata od nauczycieli i nauczycielek pobierana będzie na rzecz skarbu; nie są od niej wolni nawet nauczyciele szkół elementarnych, bo i ci płacić muszą 3 ruble.

Jubileusz. *Gazeta rolnicza* dobiega 25 roku swego żywota. Dla upamiętnienia tego faktu redakcya zapowiada wydawnictwo różnych dzieł i broszur, oryginalnych i tłomaczonych. Na początek pójdzie rozprawa konkursowa: *Jak prowadzić dziś gospodarstwa*, uzupełniona uwagami 50 światlejszych ziemian.

Kasy oszczędności mają być urządzone przy wszystkich oddziałach banku państwa w Królestwie. Przyjmować one będą wkłady od 25 kop. do 50 rubli, na 4% rocznie.

Sterlety, ryby bardzo smaczne, żyjące przeważnie w Wołdze i jej dopływach, sprowadził znacznym kosztem p. Girdwojń i zarybił niemi Wisłę i Niemen.

Podobny portret. Kupcy syberyjscy z miasta G. w guberni tomskiej, przysłali profesorowi malarstwa M. Scotti'emu 200 rubli, z prośbą ażeby wykonał portret „gołowy“ (prezydenta), który niedawno umarł. Do listu nie dołączono żadnego wizerunku, podano zaś tylko rysopis: lat 52, wzrostu 2 arszyny i 9 werszków, włosy i broda jasno blond, oczy szare, nos usta i podbródek—zwykłe, znaki szczególne—trochę szeplenił. Malarz Astrachow podjął się wykonać portret według tych wskazówek i zdziwił się jednak wielce, kiedy otrzymał list z podziękowaniem, że portret jest bardzo podobny.

Kontrabanda. W r. z. wykryto na granicy zachodniej państwa 28,205 wypadków kontrabandy, schwytano zaś 11,969 przemytników. Wartość odebranych towarów wynosi 369,239 rubli. Nie wiele.

Stowarzyszenia subjektów handlowych wyzn. mojżeszowego urządza szereg pogadanek, w których wezmą udział pp. W. Marrené, J. M. Kamiński, Wścieklica, J. Nusbaum i inni.

Humorystyka. P. Ćwierciakiewiczowa radzi zakładać po wsiach szkoły kucharskie dla... chłopów, ponieważ lud nasz żywi się źle. Dotychczas troszczyć się należy, ażeby chłop miał *co* jeść, a *jak*—o tem pomyślimy później.

113 rodzin niemieckich wysiedliło się w r. z. z Królestwa. Tak mówi źródło urzędowe. A ile przybyło?

Dopłaty od rządu kolejom żelaznym wynosiły w r. b. 12 milionów rubli.

Towarzystwo osad rolnych ogłosiło sprawozdanie za rok 1884. Dochody znacznie przewyższyły wydatki, chociaż liczba wychowańców w Studzieńcu wzrosła do 135. Ogółem od początku istnienia osady znajdowało się w niej 351 wychowańców, z których opuściło zakład 216. Większość ich została rzemieślnikami.

Nowy obraz Matejki *Chmielnicki pod Lwowem*, zakupiony przez p. Temlera, znajduje się obecnie na wystawie Tow. Zachęty S. P.

Żydzi amerykańscy postanowili przenieść święcenie szabasu z soboty na niedzielę. Zebranie rabinów w Pittsburgu zgodziło się na tę zmianę.

Gazety włoskie bardzo serdecznie witają Kraszewskiego i wyrażają sympatye swe dla polaków, przypominając że i „Włochy nazywano kiedyś ziemią umarłych.“

Deutsche Russland. *Vossische Zeitung* donosi, iż policya aresztowała agenta emigracyjnego, który wyzyskiwał wychodźców z *niemieckiej Rosyi!*

Zmarli. Marszałek Serrano, były prezydent rzeczypospolitej hiszpańskiej, później zaś przywódca partyi liberalnej.

— Fr. Eckstein, znany pedagog niemiecki, w Lipsku.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Land. Wierszyk pański nawet nie przypomina poezyi.

Leninie. Wiemy tyle jedynie, że p. W. zabiera głos publiczny w sprawach wychowawczych i jest podobno nauczycielem prywatnym.

P. Karolu, oj p. Karolu!

Ant. Z. Wyrok w sprawie Kraszewskiego zapadł 19 maja 1884.

P. Teofilowi N. Nazwa „pomieszanie zmysłów“ jest rzeczywiście niewłaściwem mianem tej choroby, ale powstała w języku z tych czasów filozofii, kiedy miała swoje uzasadnienie. A „wschód słońca“ jest logicznym?

Stałemu prenumeratorowi. Niedokładnie Pan obeznany z tym przedmiotem: 1) t. z. „stara Serbia“ zaledwie drobniutką cząsteczką weszła w skład Rumelii; 2) rzeczywistych serbów jest tam tak mało, że tablice Hübnera nie wykazują nawet procentowego ich stosunku; 3) granice państwa Duszana są tyle wartym argumentem względem bułgarów, co granice państwa Karola V względem słowian; 4) jeśli Pan dostrzega jeszcze kogoś „za plecami“ bułgarów, to chyba nie czytuje Pan żadnej gazety. W przeciwnym razie zapamiętałby Pan również, że ks. Aleksander chciał się porozumieć z królem Milanem.

P. Maryi D. Ale cóż my zrobić możemy, ażeby publiczność wiedziała, że i Pani ma czytelnię?

Czyt. Pr. w Rydze. Odebraliśmy — dziękujemy — postaramy się coś podobnego wytworzyć.

P. St. Pr. w Kijowie. Jeśli ktoś znowu zażąda, będziemy pamiętali.

P. W. K. Wykłady w uniwersytecie tomskim nie rozpoczęły się.

B. S. Takiego wykazu nie może zrobić żadne pismo tygodniowe, którego znaczna część rozchodzi się przez księgarnie i które swych abonentów nie zna.

Z. K. My piszemy *kursy*; przymiotnik „żeński“ nie jest w tych wypadkach właściwym, ale stanowi dogodne skrócenia.

U. g. ł. Serdecznie Panom za tę pamięć dziękuję.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Ценсурою. Варшава, 22 Ноября 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski